

*niektóre były nowe  
17. 6. 09*



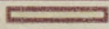
# W OGRÓDKU NACI

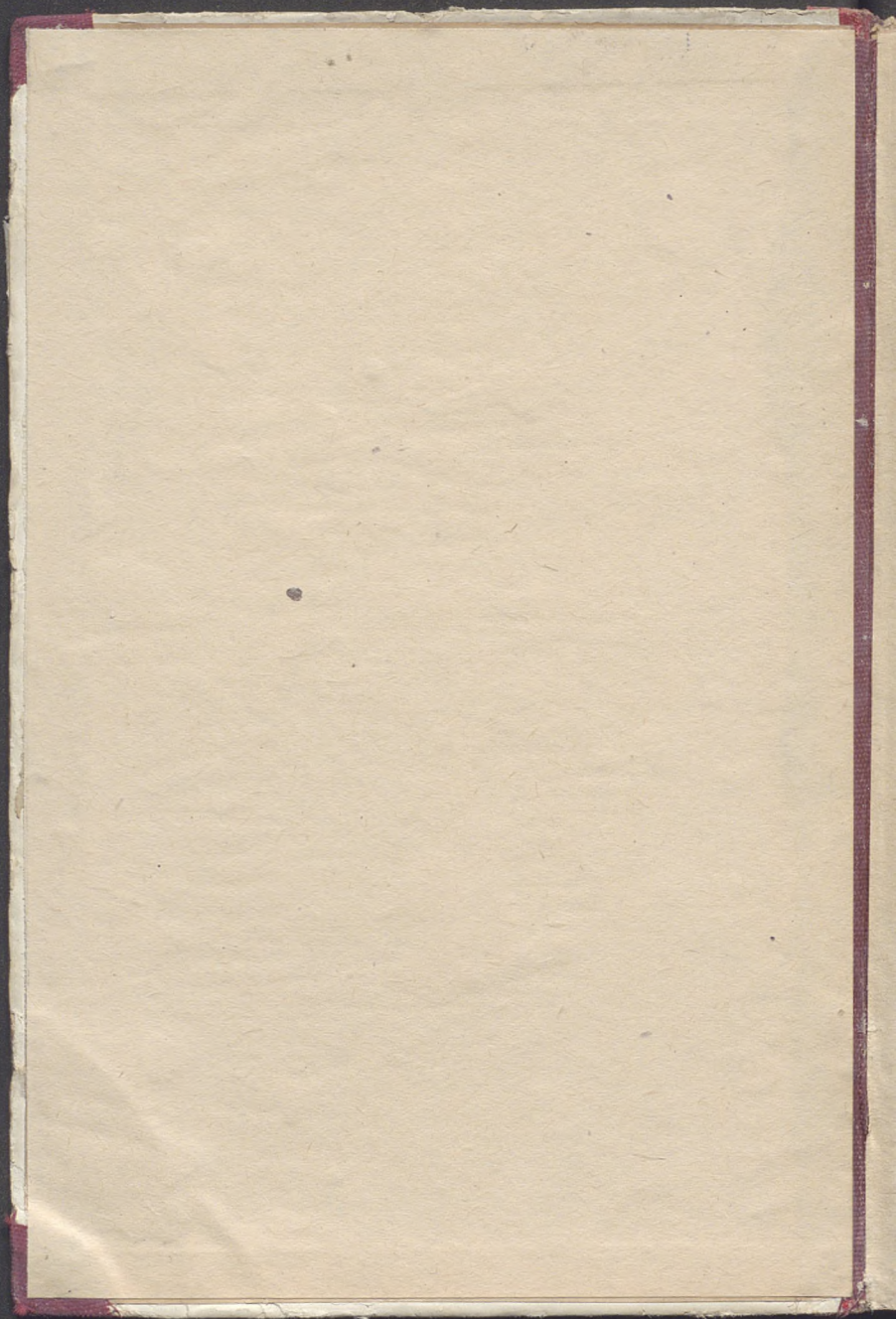
DLA DZIECI OD LAT SIĘDMIU

— NAPISAŁA MARYA WERYHO

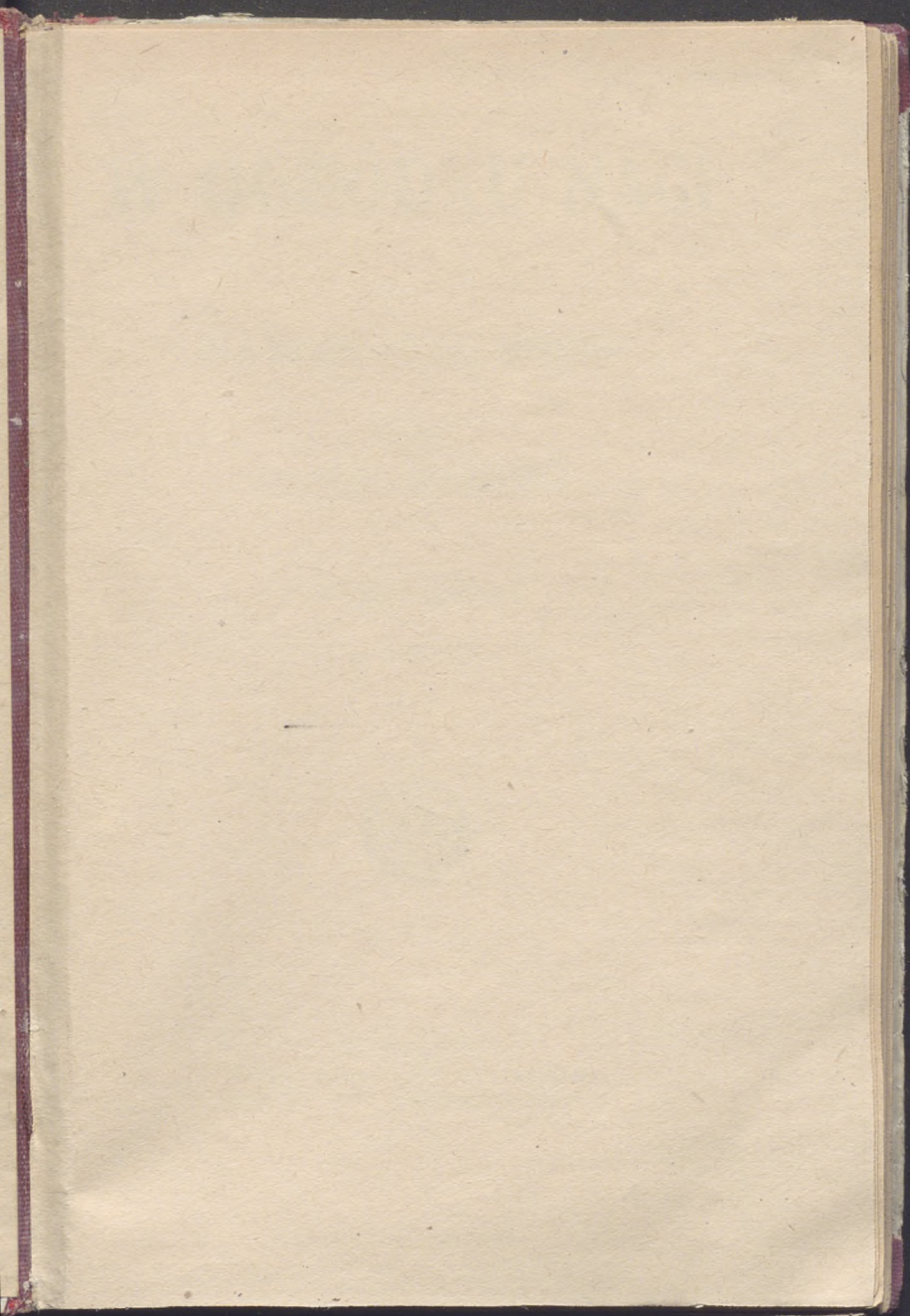


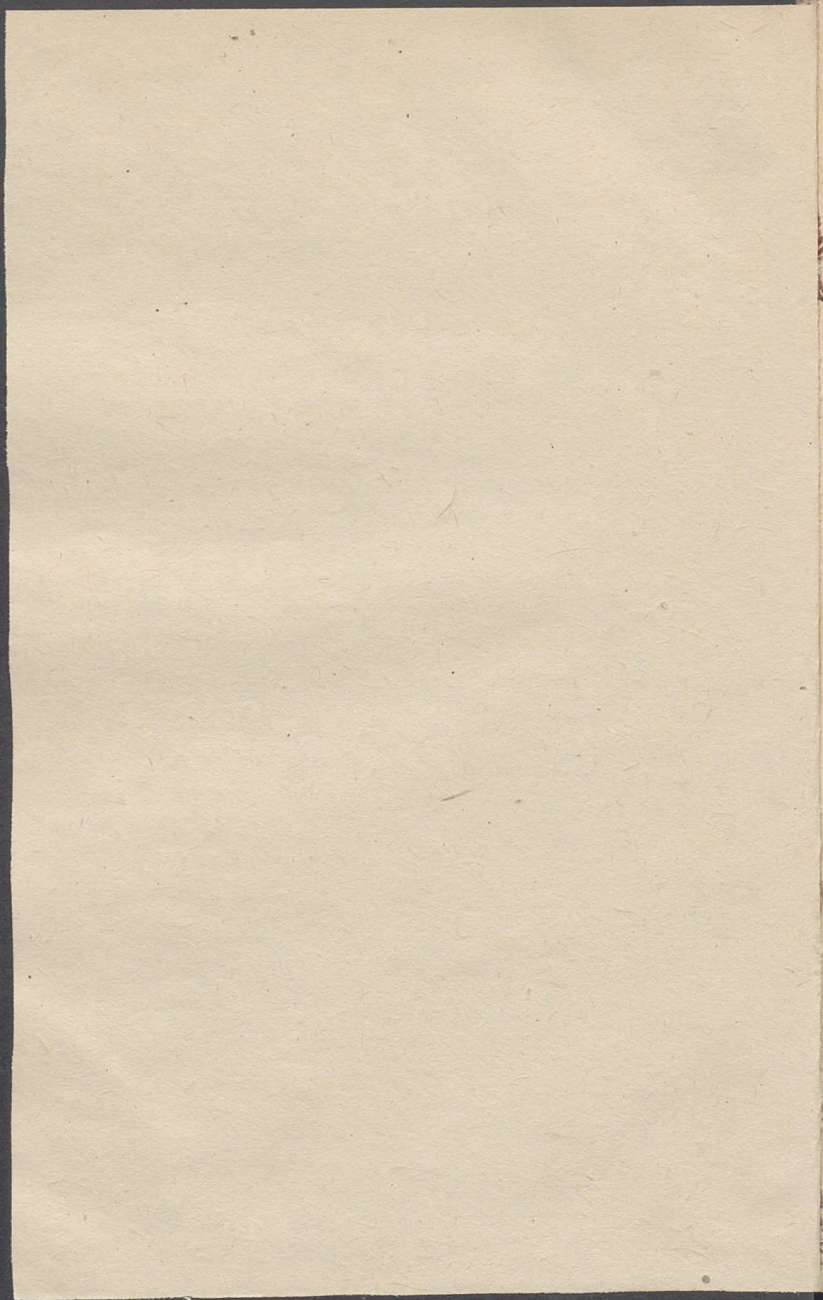
WARSZAWA & NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW & G. GEBETHNER I SPÓŁKA & 1907













*Wiesio Eysymontt*

# W OGRÓDKU NACI

DLA DZIECI OD LAT SIEDMIU

NAPISAŁA

MARYA WERYHO

WYDANIE DRUGIE

Z 36 RYSUNKAMI



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1907



I 2.831.259



---

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

2014K 498 / 9



## ROZDZIAŁ I.

**N**acia była jeszcze małą dziewczynką, gdy utraciła rodziców. Od dwóch lat mieszka u dziadków, którzy ją serdecznie kochają.

Nacia jest bardzo dobrą dziewczynką: po mieszkaniu się krząta, i babci w robocie pomaga, i dziadkowi usłuży, piosenkę zanuci, uściska, wyciątuje ich — słowem prawdziwa przylepka z małej Naci. Opiekunowie niezbyt zamożni, nie mogą jej dostarczyć cacek, jakie inne dzieci miewają, ale sam dziadek sporządza dla wnuczki niezwykle zabawki.

Zrobił naprzykład ze starego pudła domek dla lalki, w którym stały: łóżka, stoliki, szafy, zrobione z tektury. Innym razem wyciął wózek z drzewa dla lalek Naci, ze starych kaloszy zrobił piłkę.

Dziewczynka cieszyła się temi zabawkami i bardzo za nie dziękowała. Nie domyślała się jednak wcale, jaka niespodzianka czekała ją na urodziny.

Nacia wiedziała, kiedy przypadnie dzień jej urodzin, ale była pewna, że dziadkowie o tem zapomnieli, bo jakoś nie było wcale o tem mowy.

Kiedy nareszcie przyszedł dzień oczekiwany przez Nacię, dziadkowie zbliżyli się do niej, uściskali, powinszowali, a w końcu dziadek tak przemówił:

— Moja Naci, wiesz dobrze, że nie jesteśmy bogaci i kosztownego upominku dać ci nie możemy, ale za to ofiarujemy ci to, co mamy najprzyjemniejszego — nasz ogród. Od dziś dnia będzie on do ciebie należał, będziesz się nim zajmowała, utrzymywała w porządku, kwiatki sadziła, a my z babcią od czasu do czasu przyjdziemy, żeby tam na ławce spocząć. Naturalnie, że dziś nie potrafiłabyś sobie z nim dać rady, dlatego też do pomocy daję ci starego ogrodnika Macieja. Radź go się we wszystkim, słuchaj, bo to człowiek doświadczony i dużo umie.



Naci aż oczki zaiskrzyły się z radości; to na dziadka, to na babcię spogląda, nie wie sama, czy ma wierzyć, czy czasem dziadek nie żartuje?

Ale babcia nie zaprzecza słowom męża.

— Więc to naprawdę mój ogród będzie! mój, zupełnie mój! — woła Nacia. — O, jakże się cieszę, jak cieszę... nigdy się tego nie spodziewała...

I zaczęła dziękować, całować dziadków po rękach, ścisnąć z radości wielkiej.

Po śniadaniu nie mogła Nacia usiedzieć dłużej w pokoju i poszła szukać ogrodnika.

— Macieju!... — woła dziewczynka. — Macieju-u-u-u!

A Maciej przy wozowni siedział i miotłę sporządzał.

— Co się tam panience przytrafiło, że tak gwałtownie na mnie woła?

— Ach! przecież was znalazłam! — woła Nacia zdyszana. — Czy Maciej wie o tem, że jestem już duża, tak, naprawdę! Jeżeli mi Maciej nie wierzy, niech spyta babci, sama mi powiedziała, że mam ośm lat skończonych.

Ogrodnik uśmiechnął się, spojrział na Nacię i pyta:

— Czy to z tą nowiną tak się panienka do mnie śpieszyła?

— Ależ nie!... Mam jeszcze coś bardzo ciekawego do powiedzenia. Niech się Maciej domyśli! Albo nie — sama lepiej powiem: dziadkowie darowali mi ogród! Prawda, jak to będzie dobrze! Razem z wami kwiatki podlewać będę, bukiety układać... prawda, Macieju?

— E! moja panienko, żeby to taka tylko była robota, jak kwiatki sadzić, siać, podlewać i zrywać! Ale dużo trzeba się przedtem napracować, nim się do tego dojdzie.

— O, to nic nie szkodzi, nie nie szkodzi, ja będę pracowała z Maciejem razem, przecież już duża jestem. Dobrze?... Niech-no Maciej powie, że dobrze...

— Zobaczymy, jak się to panienka weźmie do roboty, bo to już od jutra można się zabrać do czyszczenia ogrodu.

— Już od jutra? — woła uradowana dziewczynka — a to wybornie! jak to wesoło będzie! A więc jutro z rana przyjdę tu i razem pój-



dziemy. Ale niech Maciej pamięta, że napewno jutro...

I Nacia pobiegła w podskokach do domu.

— Jakie to szczęście, że bywają urodziny, gdyby ich nie było, nie miałabym ogródka... szepeze Nacia do siebie, wracając do domu.

---

## ROZDZIAŁ II.

**D**użo się nasłuchiwała Nacia ciekawych rzeczy od ogrodnika.

Nie były to jednak bajeczki, ani historyjki, na nie Maciej czasu nie miał. Opowiadał on dziewczynce, jak ziemię uprawiać, grządki kopać, pokazywał jej zwierzątka pożyteczne lub szkodliwe, mówił, które owady są naszymi przyjaciółmi, a które wrogami.

Dalej opowiadał Maciej o ptaszkach szkodliwych i pożytecznych dla człowieka, a wszystko w tym celu, ażeby Nacia wiedziała, przed kim trzeba się bronić, a kogo przygarniać.

Tyle nowych rzeczy ogrodnik codzień opowiadał swej panience, że nie chciało jej się to wszystko w małej główce pomieścić.

— Zapomnę — mówiła do siebie — napewno zapomnę, co to było za stworzenie,



o którym Maciej opowiadał wczoraj. Dziś nie zechce mi znowu powtórzyć, tylko o czem innym opowie, a o tamtem zapomnę i nic wiedzieć nie będę, o wszystko będę musiała dopypywać się Macieja. A, mój Boże, mój Boże, co tu robić, żeby wszystko zapamiętać!

Po chwili doskonała myśl przyszła jej do głowy.

— Wiem, tak będzie najlepiej: wezmę kajet i będę co wieczór zapisywała w nim wszystko, co Maciej mówi. A jak którego dnia o czem zapomnę, to sobie zajrzę do kajecika i nie będę potrzebowała pytać ogrodnika.

Jak Nacia pomyślała, tak też zrobiła.

Wynalazła gruby kajet z ładną okładką, na której była malowanka, a w nim dzień po dniu zapisywała uwagi ogrodnika o zwierzętach ptakach i owadach.

Oto, co napisała pod datą dnia 15 marca.

15-go marca.

To się mój Maciej namęczył dzisiaj!

Im ładniej na dworze, tem on więcej pracuje, zupełnie jakby go słońce popychało do roboty.

Cały czerwony, krople potu spadają mu z czoła, a on nie ustaje w pracy; owszem, jeszcze więcej się śpieszy.

Dziś ogrodnik skopywał klomby pod kwiaty i trawniki.

Duży szpadel wsuwał w ziemię i przewracał kawałki gruntu. A ziemia była bardzo twarda, ogrodnik musiał dopomagać sobie nogą i, kiedy już cała ziemia została skopana, wtedy Maciej wziął taczki i pojechał na podwórko.



Szpadel.

Ja za nim; myślę: co tam będzie robił? Patrząc, a on zatrzymuje się przy dużym stosie śmieci zaczyna przekładać je na taczki.

Stos ten już od roku widziałam, czego bo tam nie było: i błoto z podwórka, i słoma, i nawóz, i śmiecie, i wióry, i popiół, obierzyny,

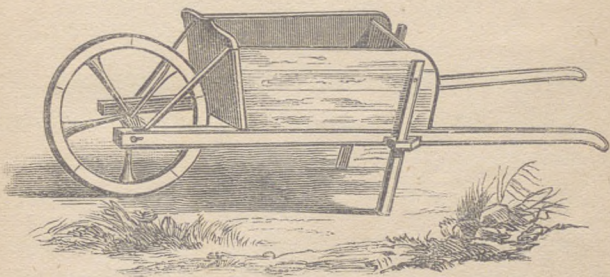


zielsko ogrodowe — a wszystko to złane obficie pomyjami.

Widać, że śmiecie już przegniły, bo były czarne i wydawały woń nieprzyjemną.

Maciej zgrzebuje teraz ów śmietnik i zawozi go do ogrodu.

Porozrzucał po skopanej ziemi i cieszy się, jakby co znalazł.



— No, nakarmię moją ziemię, nakarmię — powiada.

— Dobre jedzenie — myślę sobie — niema co mówić.

— Pożywi się — mówi dalej stary — na długo jej to starczyć powinno, to jest najlepszy nawóz na kwiaty.

Dziś więc Maciej uprawiał ziemię.

Ja zaś dopomagać mu w kopaniu nie mo-

głam, bo i szpadel był dla mnie za ciężki i ziemia za twarda, nie próżnowałam jednak — zgrzebawszy stare liście, zawiozłam je na podwórko.

Napracowałam się też dobrze; nie tak .wprawdzie, jak Maciej, ale zawsze dosyć.

*16-go marca.*

Dziś w końcu ogrodu zobaczyłam kupki ziemi, niby małe pagórki, wznoszące się na ścieżce. Maciej powiada, że są to kretowiska, to znaczy, że w tem miejscu przeszedł kret pod ziemią.

Zapytałam, czy kret jest szkodnikiem, nieprzyjacielem naszym?

Maciej mi odpowiedział, że wcale nie, owszem, jest bardzo a bardzo użyteczny. Dawniej ludzie sądzili, że kret korzenie objada i roślinki nam psuje, ale okazało się, iż wcale tak nie jest. Podobno rośliny on żadnej nie nie tknie, ale za to zjada mnóstwo liszek i pędraków.

A najwięcej smakują mu pędraki chra-



bąszczy, których przez jeden rok zjeść może do dwudziestu tysięcy.

Niema co mówić, dobry apetyt?

Bardzo się z tego cieszę, bo pędraki okropnie niszczą kwiaty.

Czasem, to się tak naje, że ledwie do domu dowlec się może, zanim jednak upłynie godzina, znowu pędzi na łowy.

Niech mu tam to wszystko na zdrowie idzie!

Opowiadał dalej Maciej, że kret w ziemi tak dobrze chodzi, jak my po pokoju. Ryjkiem rozsuwa sobie ziemię, łapkami odrzuca ją na bok i przechodzi wciąż dalej, dalej, póki nie dojdzie do swego mieszkania.

A co Maciej o tem kreciem mieszkaniu opowiadał! O jej, nigdy się tego po nim nie spodziewałam!

Powiada, że kret ma dwie ładne komory: jedną na wierzchu, drugą na dole, a od nich prowadzą zwykle trzy duże korytarze; jeden idzie na pole, drugi do wody, jeśli płynie w pobliżu jego nory, a trzeci z jednej komory górnej na dół.

Tego ostatniego korytarza nie znać prawie

wcale, umyślnie go tak ukrył, ażeby nim umknąć, gdy nieprzyjaciel go napadnie.

Mieszkanie swoje i korytarze utrzymuje bardzo czysto, ziemia w nich jest ubita, jak szosa; kret kilka razy dziennie obchodzi je, ażeby dopilnować porządku.

Oprócz tych korytarzy kret na poczekaniu robi sobie mnóstwo innych, mniejszych, ale tych nie obchodzi i nie ubija, jak główne.

Ten korytarz, który dziś widziałam, był zapewne główny.

Powiedziałam do Macieja:

— To źle, że kret nam ścieżki psuje, mógłby sobie na polu grzebać ziemię.

— Źle — odpowiedział ogrodnik — ale byłoby gorzej, gdyby tu nie przyszedł; że się tu pokazał, to znaczy, że w owem miejscu pędraki przebywają, które czyhają na młode korzonki naszych roślinek.

Wolałabym jednak, aby ten pożyteczny kret był łagodnym stworzeniem, a tu dowiaduję się, że jest drapieżnikiem i wielkim chciwcem.

Podobno małe skowronki z gniazdka zabiera, żaby żywe za nogi ciągnie do swego korytarza i zjada.



A taki jest nietowarzyski, że, gdy spotka w korytarzu innego kreta, rzuca się na niego, gryzie zębami, przewraca i dusi.

Chciałabym choć raz z bliska widzieć kreta, ale żywego, nie na obrazku.

*17-go marca.*

Jaki ten Maciej dobry, jaki dobry!  
Wczoraj powiedziałam, że chciałabym kreta



Kret.

żywego widzieć, dziś przychodzę do ogrodu, patrzę, a on w pudełku ma dla mnie kreta.

O, jakież to brzydkie stworzenie! Pfe! jużbym nie chciała zobaczyć go więcej.

Ciało grube, jak walec, nogi krótkie, a w do-

datku przednie łapy odwrócone i do rąk ludzkich podobne.

Jak chodzi, to się wydaje, że pływa albo pełza.

O szyi krótkiej to zwierzątko, ryj ma wydłużony, ogonek malutki, uszu i oczu nie znać wcale.

Spytałam Macieja, jakim sposobem kret poluje na zdobycz, skoro oczów nie ma?

A Maciej wtedy rozdmuchał trochę sierść na głowie kreta i zobaczyłam malutkie oczęta, niby łebek od szpilki.

— Ma on oczy — powiada ogrodnik — tylko malutkie. Bo też, prawdę mówiąc, nie bardzo mu one potrzebne w ziemi, choćby je miał takie duże, jak talerze, to i tak nicby nie zobaczył.

Że też ja sama nie domyśliłam się tego!

— Za to — mówił Maciej dalej — ma on wyborny węch i słuch; żaden robaczek, żaden owad nie ujdzie przed nim. A że łapy przednie ma duże i w bok zwrócone, więc jest mu z tem bardzo wygodnie, gdyż łatwo niemi może ziemię na bok odrzucać. Nie przeszkadzają mu one wcale chodzić pod ziemią.



Popołudniu dziś nie mogliśmy pracować wzięcej, bo deszcz padał.

Maciej mówił, że tymczasem taczki naprawi, a ja pójde babcy w czem dopomódz.

A zapomniałam napisać, że Maciej nie trzymał kreta długo w niewoli, ale zaraz wypuścił go z pudełka.

---

*18-go marca.*

Dużo mądrych rzeczy dowiedziałam się przez te dwa dni.

„Dla otrzymania wcześniejszych kwiatów potrzebne są inspekty“ — tak mi powiedział Maciej.

Byłam właśnie dziś przy inspektach i kilka godzin tam spędziłam.

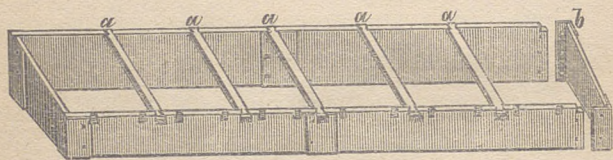
Nie jest to nic nadzwyczajnego owe inspekty: ot, po prostu duża skrzynia, w którą ogrodnik nakładł nawozu, a na wierzchu zasypał ziemią, oprócz tego bok skrzyni obłożył grubo nawozem. Potem przyniósł pudełko, w którym leżało mnóstwo papierowych torebek. Na każdej była wypisana nazwa jakiegoś kwiatka.

Domyśliłam się, że to były nasiona kwiatów.  
I nie pomyliłam się.

Maciej rozwinął jedną torebkę, ziarna rzucał do ziemi; potem wziął z kolei i drugą, wysiał z niej ziarna, potem trzecią i t. d.

Były tam nasiona goździków, bratków, lewkonii, astrów i wiele innych.

Maciej pracował bardzo pilnie, a wtedy nie lubi rozmawiać.



Skrzynia inspektowa.

Ale mnie, co prawda, znudziło trochę to milczenie, więc go pytam:

— Macieju, dlaczego odrazu w gruncie nie zasiejemy roślin?

— A bo ziemia jeszcze niezupełnie odmarzła i powietrze jest za zimne; niech podrosną najpierw tutaj w ciepłe, a później je przesadzimy.

— Można by przecież wstrzymać się z sia-



niem, a dopiero później wszystko zasadzić w ogrodzie.

— Można, naturalnie, ale nie każdy kwiat wtedy zakwitnie. Ot np. lewkonie — wschodzą bardzo trudno, a kwitną tylko wtedy, gdy są wcześniej zasadzone.

Mówiąc to, Maciej wziął dużą oszkloną ramę drewnianą i przykrył nią skrzynię.

— Będzie im ciepło w tym domeczku ze szklanym dachem — powiada. — W południe, gdy słońce przygrzeje, otworzę im okienko, na wieczór zamknę szczelnie, a jeśli wielki chłód nastanie wieczorem, na noc matami okno przykryję.

Maciej skończył robotę, popatrzył na mnie i mówi:

— Ogrodnik swoje już zrobił, a teraz ogrodniczka do roboty się zabierze.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze! — powiadam. — Ja wolę pracować, niż patrzeć na cudzą robotę; ale jakie Maciej da mi zajęcie?

— Niech panienka przywiezie w swoich taczkach drobne kawałki węgla i skorup z podwórka.

Pobiegłam z taczkami, nie mogłam się jednak domyśleć, na co te wszystkie drobiazgi.

Znalazłam wkrótce doniczkę stłuczoną, porozbijałam ją kamieniem na małe kawałeczki, od służącej wyprosiłam węgli i zawiozłam wszystko staremu.

A on trzyma już w ręku pudełko od cygar i wierci w jego dnie dziurki.

— Co to będzie? — pytam.

— Inspekty dla panienki — odpowiada zupełnie poważnie ogrodnik.

Roześmiałam się, ale o nic dalej nie pytam.

Maciej postawił pudełko na ziemi i kazał mi powkładać owe skorupy i węgiel; potem kazał mi ziemię pomieszać z piaskiem i nasypać jej do pudełka po brzegi.

— A teraz niech panienka sama zasieje te nasiona, tak, jak to robiłem.

O, to była bardzo przyjemna robota!

Rozwijalałam, jak Maciej, torebki papierowe i rzucałam do ziemi ziarenka.

Widać, że to dobrze robiłam, bo ogrodnik patrzył i żadnych uwag nie robił.

— No, teraz niech Nacia ostrożnie zanieśie ten inspekt do swego pokoju i na oknie postawi.



— A o szybach Maciej zapomniał? — spytałam.

— Nie potrzeba; w pokoju i bez tego będzie ciepło.

Okropnie byłam rada, aż mi serce zabiło mocniej z radości.

Przynoszę mój inspekt do pokoju, a babcia mię pyta: cóż to znowu za pudło niesiesz?

— To inspekty moje, proszę babci.

„Dla otrzymania wcześniejszych kwiatów potrzebne są inspekty“.

Odpowiedziałam babci zupełnie tak, jak Maciej, ani słóweczka nie zmieniłam. Nawet takim samym grubym głosem...

Babcia roześmiała się i pocałowała mnie w głowę.

Gdyby była w drugim pokoju, z pewnością pomyślałaby, że to Maciej mówi.

---

*20-go marca.*

Dziwny jest ten Maciej!... Nikogo się nie boi, niczem się nie brzydzi. Nawet ropucha nie jest dla niego wstrętną, gotówby ją pogłaskać.

Fe!... Taka nieładna... A Maciej opowiada o niej, jakby o jakim ślicznym zwierzątku.

Wczoraj zbierałam w ogrodzie suche gałęzie, wtem patrzę na grządkę, a tu ropucha pełźnie. Duża, niezgrabna, ledwie się posuwa.

— Macieju, Macieju! — zawołałam — niechno Maciej tu przyjdzie, ropucha przyszła do naszego ogródka.

A on na to spokojnie odpowiada:

— Bardzo się cieszę, bardzo rad jestem takiemu gościowi; żałuję tylko, że biedactwo zawczasie trochę do ogrodu przyszło; boję się, żeby jej głód nie dokuczył.

I zaczął mi o tej ropusze dziwy opowiadać:

Opowiadał naprzykład, że potrzebna jest bardzo w ogrodach, bo liszki pozjadałyby nam warzywa.

We dnie ptaszki polują na gąsienice, które się kryją w trawie, ale nad wieczorem, gdy ptaki spać pójdą, liszki i ślimaki wyłażą z kryjówek i nuż objadać kapustę, buraki, ogórki itp., wtedy to i ropucha wychodzi, aby szkodnika jednego po drugim sprzątać.

Spytałam Macieja, dlaczego ona taka, że każdy się nią brzydzi.



— A czemu się broniło biedne stworzenie! — odpowiada Maciej. — Przecież ugryźć nie może, bo zębów niema, udrapać także — zginęłaby zaraz.

Jako jedyną obronę, ma na sobie brodawki, które wydzielają ostry płyn niemiłego zapachu.

Drapieżne zwierzęta i ptaki nieraz możeby ją porwały, zabiły, ale — brzydzą się.

Opowiadał także, iż w niektórych dużych miastach ogrodnicy kupują ropuchy, jeżeli mało ich mają w swoich ogrodach, i nawet dobrze za nie płacą.

Jak sobie o tem pomyślę, to widzę, że naprawdę biedne stworzenie z tej ropuchy; jest ona, co prawda, nieładna, ale też nikomu w drogę nie wchodzi, nic złego nam nie wyrządza. Siedzi sobie przez cały dzień w wilgotnej trawie, albo w jakim dole, i dopiero w nocy wychodzi na żer.

Nie będę jej prześladowała, niech sobie łązi po ogródku, bo Maciej powiada, że ona jest przyjacielem i stróżem naszych ogrodów.

*22-go marca.*

Ładny dzień nam wypadł.

A to jest rzecz bardzo ważna, bo, jak deszcz pada, to w ogródku nic robić nie można.

Oczyszczaliśmy z Maciejem krzaki róż. Do tego czasu były słomą poobwijane i przykryte.

Ale ogrodnik powiedział, że już dosyć mają spania, wiosna już nadeszła.

Ja też mu pomagałam. Rozwiązywałam słomę, zbierałam ją w taczki i odwoziłam na podwórko.

Ogrodnik odcinał zeschnięte gałęzie z krzaków, zdrowe przywiązywał do palików; a nawet leczył poranione róże.

Jeżeli były gdzie nadłamane, to smarował je jakąś maścią i przewiązywał szmatką.

Tu bardzo się przydałam ogrodnikowi.

Raz on trzymał gałązkę, a ja obwiązywałam, to znowu ja trzymałam, a on wiązał.

Słowem, byliśmy bardzo sobie potrzebni.

Maciej czasem wołał na mnie: „mój pomocnik“.

Lubię, gdy mię tak nazywa.



*3-go kwietnia.*

Ach! mój, Boże, mój Boże, jakie też mnie szczęście spotkało! Ale to takie szczęście, jakiego jeszcze nigdy nie zaznałam. Dostałam



Sroka.

srokę w upominku, prawdziwą, żywą srokę.

Maciej mi ją ofiarował; powiada, że w ogrodzie ją złapał. To dziwna rzecz, bo ja nigdy bym takiego zręcznego ptaszka schwytać nie

umiała. Jakaż ona prześliczna! — piórka ma białe i czarne, a i ogon bardzo ładny — mieni się na słońcu wszystkimi barwami. Maciej obciął jej trochę skrzydła, żeby nie uciekła, ale one odrosną, nie przez to ptaszкови się nie stanie. Srocza siedzi w kącie stulona i przestraszona. Dziaduś powiada, że się prędko oswoi. Jak to będzie przyjemnie ze sroczką się bawić! Zaprowadzę ją do ogrodu, tylko muszę się spytać Macieja, czy jest pożyteczna dla naszego ogródka, czy też szkodliwa. Chciałabym, żeby była użyteczna, bo inaczej nie mogłabym jej do ogródka zabierać. Dziadusiowi też moja srocza bardzo się podoba, obiecał mi opowiedzieć o niej różne ciekawe rzeczy. O, byleby to tylko prędeej nastąpiło... Bo nie o srocze nie czytałam, nawet nie wiem, czem ją mam karmić. Poproszę grzecnie dziadka, może mi jutro opowie, a jak opowie, to sobie w dzienniczku zapiszę.

*5-go kwietnia.*

Od dwóch dni deszcz pada; do ogródka nie chodzę, bo tam kałuże błota stoją... Nie



nudzę się jednak; mam sroczkę moją najdroższą do zabawy, chociaż nie oswoiła się jeszcze ze mną. Ile razy zbliżę się do niej, chowa się niepoczciwa po kątach. O szarej godzinie dzia-  
dzio mi opowiada rozmaite historyjki o srokach.

Jednak sroki to zręczne ptaki! Dziadus po-  
wiada, że widział raz ich gniazdo. Wygląda  
ono, jak kosz, z gałęzi upleciony; w środku  
wyłożone jest włosiem, drobnymi korzonkami,  
trawą, a wszystko gliną zlepione; ale nie dość  
na tem: gniazdo przykryte jest z wierzchu  
daszkiem.

Mądra sroczka! deszcz jej nie zmoczy!

Ale czego ja się jeszcze o srocce dowie-  
działam! Nie wiem sama, czy mam pisać o tem:  
podobno zabiera do swojego gniazda rozmaite  
świecące przedmioty... A więc porywa wszystko  
co znajdzie: guzik, napaśtek, pierścionek... Cie-  
kawa jestem, czy i moja sroczka będzie miała  
ten brzydki zwyczaj...

Mówił mi też dziadus, że moja sroczka  
będzie bardzo zwinna i wesoła i że ją będę  
mogła nauczyć wymawiania kilku wyrazów.  
Bardzo mnie to dziwi, bo dotąd słyszałam ga-  
dające tylko papugi, a tu i sroczka moja będę

kotać będzie. Gdyby się tylko prędzej oswoiła ze mną. Wczoraj serdecznie się uśmiełam, gdy mi dziadek opowiadał jedno zdarzenie ze sroką.

Napoleon, cesarz francuski, bardzo lubił ptaki gadające. Wiedzieli o tem podwładni i ofiarowywali mu mnóstwo podobnych ptaków. Pewien ubogi szewc chciał również przysłużyć się cesarzowi. Złapał więc srokę i zaczął ją uczyć następujących wyrazów: „Niech żyje Napoleon!“ Niewiadomo dlaczego, czy wyrazy były za trudne, czy sroka była niepojętna, dosyć, że nie mogła w żaden sposób tego zapamiętać. Długo się szewc mozolił i często z rozpaczą odchodził od sroki, mówiąc: „Cała moja praca pójdzie na marne!“ Przyszedł jednak czas, w którym Napoleon miał przez owo miasteczko przejeżdżać. Mnóstwo ludzi wyszło na jego spotkanie; witali go głośnym okrzykiem: „Niech żyje Napoleon!“ Wyszedł i szewc ze swoją sroką, która już się trochę poduczyla i, choć nie bardzo wyraźnie, wymawiała jednak powyższe słowa. Zbliży się tedy szewc do powozu cesarza. Ale Napoleon w tym czasie tyle otrzymał ptaków w darze, że nie miał wcale ochoty patrzeć na srokę; podziękował więc



uprzejmie rzemieślnikowi za pamięć, lecz ptaka nie przyjął. Biedny szewc zmartwił się wielce i ze smutkiem odepchnął srokę. A sroka, czując się nareszcie na wolności, podskoczyła radośnie z ziemi i głośno zaczęła powtarzać: „Cała moja praca pójdzie na marne!... Cała moja praca pójdzie na marne“.

Wśród publiczności powstał śmiech. Cesarz również serdecznie się ubawił. Kazał podać sobie uczonego ptaka, a szewca hojnie wynagrodził.

*8-go kwietnia.*

Ogrodnik dziś bardzo był zajęty, a i „pomocnik“ jego nie próżnował.

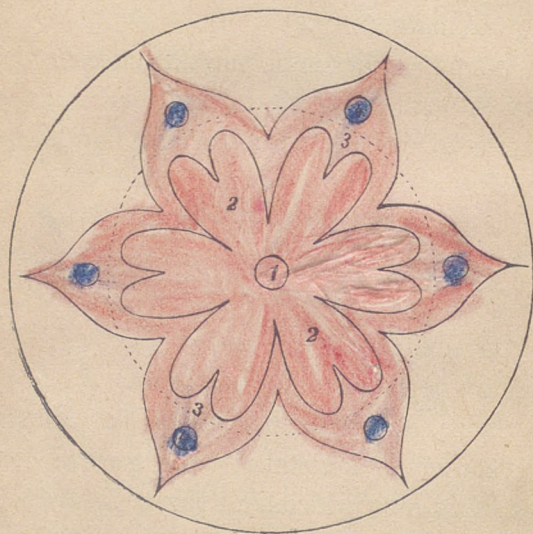
Sądzę, że było bardzo ciężko Maciejowi wyrysować na kwietniku taką gwiazdę!

Kilka razy widziałam, jak zrównywał ziemię i znowu rysował na niej, a to mu dużo czasu zajęło. Ale za to wyszła prześliczna sześćcio-promienna gwiazda! Wyobrażam sobie, jaka będzie ładna, gdy na niej kwiaty urosną. To chyba będzie najpiękniejszy klomb w ogrodzie.

A! zapomniałam napisać, że ogrodnik już

od paru dni zrównał ziemię i przygotował do sadzenia klombów i kobierców.

Ja byłam zajęta sianiem trawy; Maciej raz mi tylko pokazał, jak się to robi, i pojęłam odrazu, — to nietrudna robota.



Bierze się do ręki garść nasienia trawy i rzuca się na skopaną ziemię.

Naturalnie, że nie w jedno miejsce wszystko sypałam, ale starałam się, żeby wszędzie była jednakowa ilość nasienia.



Potem małemi grabiami zabronowałam tam trochę ziemię, żeby nasiona nie leżały tak na samym wierzchu; mógłby je wiatr porwać.

Po skończonem sianiu, wzięłam polewaczkę i przez sitko polałam przyszły trawnik.

Byleby prędzej weszła moja trawa!

Maciej też siał dzisiaj trawę.

Ciekawa jestem, czyja prędzej urośnie?



---

*11-go kwietnia.*

Myślę sobie, myślę i nie mogę się domyśleć, skąd Maciej tak dużo wiadomości posiada? Oto choćby dziś naprzykład: o takim marnym pająku — wszystko wie, tak jakby z nim mieszkał. Wyjmując okno z balkonu, spostrzegliśmy mnóstwo pajęczyny. Maciej zdejmuje jedną za drugą, a tu z jednej z nich pająk wypada. Natychmiast wpuścił go do ogrodu, mówiąc: „Wynoś się, ty szkaradniku, nie tu miejsce dla ciebie; idź do ogrodu“.

— A czy on tam potrzebny jest w ogródku? — pytam Macieja.

— O i bardzo — odpowiada mi Maciej — będzie nam owady i liszki zjadał. A gdyby



Pająk.

panienka mogła kiedy widzieć, jak on to zręcznie robi. Siedzi naprzykład na drzewie i czatuje na gąsienice; jak tylko się która pokaże, chwytą ją i ssie. A jeszcze ciekawsza



rzecz, jak sobie muchy i komary łapie. Wie on dobrze, że drobne owady, mając słabe skrzydełka, lecą często za powiewem wiatru. Otóż w miejscu, gdzie jest podobny przewiew, snuje sieć cieniutką i gęstą. Sam siada na środku sieci i nasłuchuje.

Skoro jaki mały owad wpadnie do pajęczyny, pająk natychmiast go poczuje, pędzi szybko po sieci, chwytą i spożywa zdobycz. Gdy owad, chcąc się wyswobodzić, rozerwie mu sieć, pająk zabiera się do jej cerowania.

— A skąd on tę pajęczynę bierze? — spytałam Macieja.

— Z siebie wysnuwa. Ma on na ciele gruczołki, z których wypuszcza płyn, który na powietrzu natychmiast krzepnie i tworzy cieniutką przędę.

Pająk jest to dobre i pożyteczne stworzenie, szkoda tylko, że ptaki tępią go często, co prawda, broni się przed nimi, jak może, kryjąc się zwykle po ciemnych kątach.

---

*14-go kwietnia.*

Tośmy się dziś napracowali z Maciejem! Bo też i roboty mieliśmy dużo. Dzień był bardzo ładny, i zajęliśmy się porządkowaniem drzew owocowych. Maciej obcinał stare gałęzie i obrywał suche liście, które jeszcze gdzieśgdzie wisały na drzewie. Dziwiłam się, co prawda, bardzo, że on te liście obrywa: przecież one drzewu nie szkodzą, a jak silny wiatr powieje, to je porwie. Ale wkrótce się przekonałam, że Maciej dobrze wie, co robi. Jeden z takich suchych skręconych liści rozwinełam. Patrzę: siedzą na nim gąsienice; rozwijam drugi liść — to samo; na trzecim — całe gniazdo gąsienic. Ach! myślę sobie, oto, gdzie się nasi szkodnicy kryją! Maciej opowiadał, że pewnego lata było takie mnóstwo gąsienic, że wszystkie liście na drzewach owocowych pozjadały; ogród wyglądał, jak w zimie, żadnego owocu nie było. Ale w tym roku tak źle nie będzie, damy sobie radę z tymi szkaradnikami!

Bardzo mi się przydały taczki, które mi dziaduś zrobił, bo czembym liście woziła? A teraz napakuję pełne taczki i zawiozę na



podwórko. Maciej powiada, że ten cały stos musi spalić, aby wyniszczyć wszystkie gniazda gąsienic.

Ale nie na tem skończyła się dzisiejsza robota.

Maciej wziął wapna, pomieszał z wodą i zrobił mleko wapienne; nalał go do mojej konewki i kazał polewać pnie drzew. Potem wziął sikawkę, napełnił ją tem samym mlekiem wapiennem i zaczął także skrapiać drzewa, mury, a nawet parkan. Powiada mi, że robi to także dla wytępienia owadów. Teraz już chyba niema się czego bać, bo nie tylko gąsienice, ich gniazda, ale nawet zarodki wytępiiliśmy. Niech Pan Bóg da zdrowie temu Maciejowi za to, że on taki rozumny: wszystko wie, co i jak trzeba robić.

Żebyście widzieli, jak ogródek po tem wybieleniu ładnie wygląda!... O wiele jest w nim jaśniej i weselej. To dobrze, bo i roślinki lubią dużo światła.

*16-go kwietnia.*

Kielkuje i rośnie...

Coś naprawdę rośnie w moich inspektach. Ale tak się wszystko pomieszało, że żadnej roślinki nie rozpoznam; nie wiem, gdzie rezedra, a gdzie lewkonia, gdzie znów zielsko zwyczajne...

Boję się spytać Macieja!

On, co prawda, radził mi ponapisywać kartki i przykleić do pudełka.

Sadziłam rzędami, więc wiedziałabym, co w którym rzędzie rośnie, bo można zaraz przeczytać z kartki, ale ja o tem na śmierć zapomniałam. Zaraz nie zapisałam tego do dzienniczka i teraz mam za swoje!...

Jak się to skończy, sama nie wiem.

Maciej powiada, że już prędko przesadzać będziemy.

Zdaje mi się, że rosna dobrze.

Robię, co mogę: podlewam, do słońca obracam, jak Maciej przykazał.

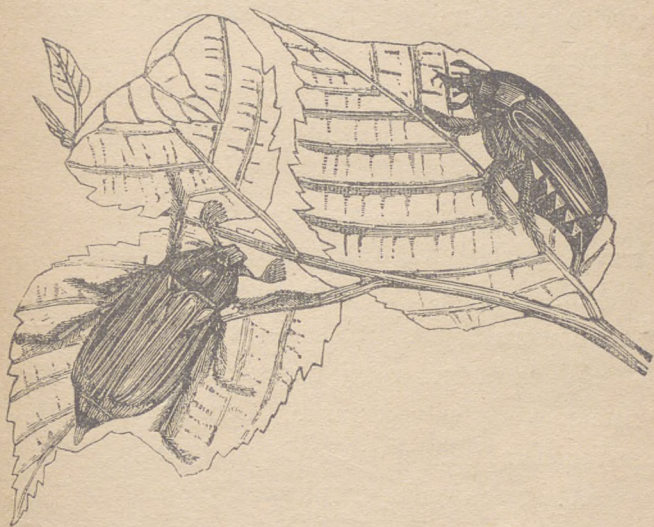
No, ale cóż, kiedy sama nie wiem, co hoduję, — może same chwasty.



20-go kwietnia.

Poznałam nowego nieprzyjaciela: chrabąszcza.

Któżby się tego po nim spodziewał!... tak często trzymałam go w ręku, bawiłam się nim.



Chrabąszcz.

A tu ładnych rzeczy dowiaduję o nim od Macieja!

Powiada on, że w lecie chrabąszcz kopie małe dołki i składa w nie po kilkanaście jajek.

Z nich to po sześciu tygodniach wylęgają się pędraki. A że muszą jeść, więc nic lepszego wynaleźć w ziemi nie mogą nad korzonki młodych roślinek.

I tak owe pędraki przez trzy lata łażą bezkarnie pod ziemią i roślinki psują, bo przecież one nie mogą żyć, gdy im robak korzeń podetnie.

Inne robaki na zimę zasypiają, ale pędraki zagłębiają się tylko dalej w ziemię i apetytu wcale nie tracą.

Maciej powiada, że jeden pędrak przez owe trzy lata spożywa dwa funty pokarmu.

Chwała Bogu, że kret je tępi, bo naprawdę nie wiedziałabym, jak sobie z nimi poradzić.

W czwartym roku nareszcie szkodnik ów zamienia się w poczwarkę. Ośm miesięcy śpi pod ziemią i ludzi zostawia w spokoju.

Ale w kwietniu, na nieszczęście nasze, rozrywa skorupę i wychodzi jako chrabąszcz.

Mnóstwo ich znaleźliśmy w ogródku. Mają jasno czekoladowe skrzydła i łażą wolno po ziemi, ale Maciej powiada, że są jeszcze młode, a za parę dni zaczną latać i poobsiadają drzewa.



Siedząc na drzewach, też nie próżnują, bo objadają liście prędko, jeden po drugim.

O mój Boże, co to za nieszczęście będzie, gdy zaczną nasze kasztany i bzy objadać!

Opowiadał także Maciej, że jedno tylko na nie jest lekarstwo: Wstać bardzo wczesnym rankiem, rozesać płachtę pod drzewem i potrząsnąć niem silnie.

Chrabąszcze od zimna nocnego są zupełnie skostniałe i, nie nie czując, wszystkie na ziemię pospadają. Wtedy kaczki i kury mają z nich pożywienie.

Wiem, że Maciej jest dobry człowiek i nie tępiłby żywych stworzeń nadaremnie.

---

*22-go kwietnia.*

Bardzo przyjemnie zeszedł nam dzisiaj dzień.

Maciej wykończył trawniki i klomby na kwiaty. Ja też nie próżnowałam. Grabiłam skopaną ziemię, a suche gałęzie odwoziłam do śmietnika.

Później przystąpiliśmy do jeszcze przyjemniejszego zajęcia. Sialiśmy wspólnie różne

kwiatki: rezedę, mak, powój, groszek, fasolę i wiele innych.

A to wcale nie jest trudne.

Jeżeli nasienie jest drobne, to się je bierze do ręki i rzuca na grunt, a następnie przysypuje leciutko ziemią.

Z większemi ziarnkami, takimi jak groch, fasola, inaczej się trochę postępuje.

Najpierw patyczkiem trzeba dołek zrobić, ale niebardzo duży, — Maciej radzi, żeby był trzy razy większy od ziarnka, — później kładzie się ziarnko, zasypuje się je ziemią i cała robota skończona.

Zasadziliśmy mnóstwo kwiatów!

Ciekawa jestem, jak długo czekać będę, nim urosną i zakwitną.

---

*26-go kwietnia.*

Bardzo miłą miałam dziś niespodziankę! Gracuję sobie ścieżki i piosenkę po cichu nuce, a wtem słyszę jakieś gwizdanie. Przysłuchuję się: ptaszek wygwizduje piosenkę, ale jaki? nie mogłam się domyśleć.

Co to za ptaszek? pytam siebie; rzucam



grabie i biegnę do krzaków, a on fyrt! i skrył się w sam gąszcz.

Szukam, szukam, obchodzę wkoło krzewy — nie widać. A, pomyślałam sobie, z pewnością



Kos.

przestraszył się mojego widoku. Usunęłam się trochę, za krzaczkiem przykucnęłam i siedzę cichutko, bez ruchu. Siedzę sobie, siedzę, czekam, a ptak myślał zapewne, że już wyszłam

z zarośli: usiadł na dużej gałęzi, obejrzał się wokoło i znów radośnie śpiewać zaczął. Wysłuchałam się trochę, głowę skryłam pod gałązkami, żeby mnie nie dojrzał i patrzeć. Jakiś ptak, cały czarny, tylko dziób ma żółty. Nie znam takiego. Wkrótce skończył piosenkę, usiadł na stosie suchych liści i zaczął je rozgrzebywać. Oho, myślę sobie, jak ja się dobrze skryłam! Śmiać mi się chciało okrutnie, że tak zwiódłam ptaka, ale bałam się go spłoszyć. Tłumiłam śmiech i wszystkoby dobrze było, gdy tymczasem nagle, zupełnie mimowoli, kichnęłam, i to tak głośno, że pewno w domu słyhać było.

Ptaszek przestraszył się i odleciał.

Ogromnie byłam niezadowolona z siebie, ale coż, kiedy naprawdę nie mogłam powstrzymać tego kichania. Tak to jakoś nagle się stało. Przyszedł wkrótce Maciej. Opowiedziałam mu wydarzenie moje.

— A, to kos przelatywał! Znam go, znam dobrze; często wpada do naszego ogródka, szczególnie na jesieni. Siada zwykle, ot, na tej jarzębinie i jagody objada, albo znowu suche liście rozgrzebuje i robactwo z nich wybiera.



Właśnie to samo przed chwilą widziałam. Maciej też lubi kosa za jego piękny śpiew. Żeby to ten ptaszek częściej przylatywał! A jakby to dobrze było, gdyby on w naszym ogrodzie swoje gniazdko usłał. Ale Maciej powiada, że kos głównie w zaroślach lub w lasach się gnieździ, na jałowcu, na leszczynie, czasem w pniach starych drzew. Chciałabym kiedy zobaczyć gniazdo kosa. Maciej mówi, że bardzo ciekawie wygląda. Kos uwija je z traw; wylepia ziemią tak, że gniazdo podobne jest do miski glinianej. Później na zewnątrz upstrzy mchem zielonym, a samo wewnątrz gniazda wyściela trawami bez żadnego zlepiania. Poproszę kiedy mego dobrego Macieja, a jestem pewna, że mi nie odmówi, i zaprowadzi do lasu, ażeby obejrzeć takie gniazdo. Nie ruszę go, o nie! nigdy w życiu, tylko trochę popatrzę.

Podobno kosy żyją w przyjaźni z drozdami. I robią bardzo rozumnie, wiedzą, z kim się zadają, bo drozdy też ładnie świergocą; a cóżby im przyszło z towarzystwa takich naprzykład wron albo srok?

*1-go maja.*

Co za przeprowadzka kwiatów dziś była!  
Ile kłopotu! ile zajęcia!

Z inspektów przeprowadziliśmy kwiaty na  
kwietniki.

A Maciej i tu nie zapomniał rad mi swoich  
udzielić.

Bardzo wczesnie przybiegłam dziś do ogródka  
i zastałam już Macieja przy inspektach. Zape-  
wne dawno przyszedł, bo inspekty i kwietniki  
były już popodlewane.

— Mój Macieju, powiedzcie, dlaczego pod-  
leliście inspekty, kiedy tam już kwiatów nie  
będzie?

— Tak trzeba — odpowiada mi ogrodnik  
poważnie. — Zawsze ziemia, z której wyjmujemy  
rośliny, powinna być wilgotna, inaczej  
najmłodsze, a zarazem najpotrzebniejsze dla  
rośliny korzonki przy wrywaniu zostałyby  
w ziemi inspektowej i przesadzona roślina  
łatwo zmarniałaby w gruncie.

Przesadzaliśmy lewkonie, astry, bratki, nie-  
zapominajki, goździki i inne kwiatki. Ale ka-  
żda roślinka miała osobne miejsce wyznaczone.



Jedne zajęły miejsce w środku klombu, inne tworzyły szlaczek, a jeszcze inne po trzy i więcej rosły razem.

Pierwszy to chyba raz ogrodnik cieszył się z pochmurnego nieba.

Powiada, że w dzień ciepły i słoneczny źle jest przesadzać kwiaty.

Maciej widocznie był bardzo zmęczony, ale jakoś miał dobry humor.

Mnie też wesoło było, choć, co prawda, zawałałam się, jak nasz Burek; wyśpiewywałam jednak piosenkę:

»Aj, aj, aj! w ogródeczku maj«.

Trawniki też już się zazieleniły.

---

*3-go maja.*

O, muszę się bardzo spieszyć z pisaniem, bo mi wszystko z głowy uleci: zapomnę. Czasem słucham Macieja, słucham i zdaje mi się, że wszystko, co mi mówi, pamiętam; a jednak, gdy zabiorę się do pisania jego uwag, połowy nie mogę skleić! Jakiego ten człowiek użył sposobu, żeby tak dobrze wszystko zapamiętać?

Dziś słyszałam o drzewnej żabce; bylebym tylko czego nie zapomniała.

Oglądam kwiatki w ogrodzie, a wtem słyszę, że Maciej woła: „Panienko, panienko, proszę tutaj“!



Żabka.

Biegnę co tchu! Maciej trzyma żabkę zieloną.

— Niechno się panienka przypatrzy, co to za miluchne stworzenie! — powiada Maciej, i kładzie mi żabę na rękę. A ja naturalnie



w krzyk: „Co też Maciej nie wyrabia! żabę do rąk brać, fe, fe!... brzydactwo!“

Ale ogrodnik zaczął we mnie wmawiać, że to zupełnie inna żaba, wcale nie przykra w dotknięciu.

Wkońcu zgodziłam się; wzięłam na rękę żabkę, ale przyznam się, że w pierwszej chwili było mi bardzo nieprzyjemnie.

Żabka była zielona, nic w sobie wstrętnego nie miała, widać, że się nie zadaje ze zwykłymi żabami. A co dziwniejsza, że nóżki ma bardzo zgrabne, palce długie, na końcu trochę rozszerzone. Maciej powiada, że ona może chodzić po pniach i gałęziach zupełnie gładkich, a to dlatego, że skórka na jej łapkach wydziela z siebie płyn klejowaty, dzięki czemu żabka z łatwością czepia się powierzchni.

A jak ona zręcznie umie sobie pokarm zdobywać! Siedzi gdzieś na gałązce, liśmi przykryta, cichuteńko, jakby spała. A tu naprzykład komar leci. Lata, lata, brzęczy nad uszami żabki; ona zaś siedzi bez ruchu. Nareszcie komar zmęczony siada na listku. Wtedy żaba zmienacka cap!... cap!... i już po komarze. Nikt nawet nie spostrzeże, że komara na

świecie już niema, tak się cicho z nim uwinie. W ten sam sposób poluje na muchy i na inne owady. Zdawałoby się, że owady muszą o tem wiedzieć i z daleka omijają żaby, a tymczasem tego nie robią, gdyż coraz to nowe przylatują i coraz więcej ich żaba zjada. I nic dziwnego! Przesiaduje ona zwykle na drzewach. Naturalnie, że owady nie mogą jej odróżnić wśród zieloności, zapewno im się zdaje, że to liść drzewa, nie zaś zwierzątko.

Cóż mi Maciej jeszcze opowiadał?

Aha! przypominam sobie. Mówił, że kiedyś, będąc małym chłopcem, trzymał żabkę drzewną w słoiku. Czy domyślicie się po co? Żabka mu pogodę przepowiadała. Miała ona w słoiku wodę i małą drabinkę. Na pogodę włożyła żabka na sam wierzch drabinki, na deszcz chowała się znów do wody.

Zdale mi się, że wszystko o żabce napisałam, nie nie opuściłam...

— A! patrzcie państwo, gdzież tam wszystko! O takiej ważnej rzeczy zapomniałam, że na zimę żabki kryją się do bagien i jajka składają też w wodzie, podobnie jak wszystkie inne żaby.

---



*5-go maja.*

Dziś z rana piję śniadanie, a tu wchodzi ogrodnik.

— Przyszedłem po inspekty panienki. A jakże tam fłance? będzie co do ogródka przesadzić? Nie miałam czasu zajrzeć do nich.

Aż struchlałam na myśl, co powie Maciej, gdy zobaczy wszystkie rośliny pomieszane.

Nie nie odpowiadam, tylko pokazuje, gdzie stoi skrzynia z kwiatami. Maciej, nie nie mówiąc, zabrał ją ze sobą i wyszedł.

— No, myślę sobie, na śmietnik zapewne wyrzuci! Mam nauczkę za moje zapomnienie!

Ubrałam się czempredzej i biegnę za ogrodnikiem, a on wprost do klombu zmierza.

— Niech panienska zabiera się do roboty: ja pokażę, gdzie jaki kwiat ma rosnać, a Nacia przesadzi.

— Tu będą lewkonie.

I powyrywał ze skrzynki małe fłance.

— Jest ich tu dziesięć — nieźle urosły.

— Astry znowu na środku niech rosna, — jeden, dwa, trzy — no i dosyć.

Jakim sposobem on je poznał? tego nie

mogę zrozumieć. Dla mnie wszystkie fance były jednakowe.

Zasadziłam kwiatki, a o tem, żeby były pomieszane, wcale Maciej nie wspominał.

Chwała Bogu, że to jakoś szczęśliwie się skończyło.

Ciekawam, które kwiaty najpierwej zakwitną?

---

*7-go maja.*

Ładnie wschodzą nasze kwiatki i już są prawie tak duże, jak przesadzone fance.

Ale teraz mamy nową robotę z podlewaniami.

Zdawałoby się, że w tem niema nic trudnego: nalać wody na kwiaty i już!

Ale gdzie tam! Maciej zawsze mnie czegoś nauczy.

Najpierw, powiada, że do podlewania trzeba używać wody albo z sadzawki, z rzeki, albo deszczowej. Woda studzienna, jako twarda, jest nieodpowiednia.

Nie dość na tem, mój starowina każe pilnować się pewnej godziny!



Albo przed wschodem słońca należy podlewać, albo wieczorem.

Ja naturalnie wolę wieczorem, bo komużby przed wschodem słońca chciało się wstać z łóżka?

Ale jestem pewna, że Maciej już o świcie podlewa.

Coś jeszcze o podlewaniu słyszałam!

— A, prawda! Młode roślinki często trzeba podlewać, starsze rzadziej.

A jeszcze! coś jeszcze było! Mój Boże, ile to człowiek spamiętać musi.

Podlewać trzeba nie same rośliny, lecz ziemię; bo niektóre kwiaty nie znoszą wilgoci i gniją od niej. Zresztą przecież rośliny piją wodę korzeniami, a nie liśćmi lub łodygą.

---

*15-go maja.*

Kwitną, kwitną, naprawdę kwitną. —  
Pierwsze niezapominajki!

Pocziwe kwiateczki. Życzę wam jak najlepszego zdrowia i najdłuższego życia.

Niezapominajki nasze są bardzo podobne do błotnych, tylko kwiat mają trochę większy.



Niezapominajki.

Ułożę małą wiązanekę i babci podaruję.  
Ucieszy się zapewne.

---

Późno już jest — ale nie mogę nie napisać  
w moim dzienniczku, że dzisiejszy dzień to



chyba najładniejszy, najprzyjemniejszy ze wszystkich, jakie dotąd miałam.

Pierwszy raz w życiu słyszałam słowika, cudny śpiewak z niego! I w dodatku w moim ogródku. Co za szczęście! Ale muszę zapisać wszystko po porządku.

Zaraz po podwieczorku babcia kazała zaprzężyć konia i pojechała do sąsiadki powinnować. jej imienin. Bo to dziś św. Zofii, i owa pani ma na imię Zofia; wielka to przyjaciółka babci. Dziadek jest chory na nogę, więc nigdzie nie jeździ i został ze mną w domu.

Doskonaleśmy się bawili: zaprowadziłam dziadka do ogródka, pokazywałam wszystkie kwiaty, opowiadałam o szkodnikach, które nam zniszczyły niektóre rośliny. Potem dziadek opowiadał mi o różnych przygodach, jakie miał w dzieciństwie. Potem bawiliśmy się w pana i panią: dziadek siedział w fotelu na balkonie, a ja niby przyszłam z wizytą do niego...

I tak nam zeszedł czas do wieczora. Zwykle o godzinie 10-ej spać idę, ale dziś pozwolił mi dziadek poczekać na przyjazd babci.

Stoję tak przy dziadku i patrzę, jak ina-

czej ogród wygląda wieczorem — wtem słyszę  
cudne dźwięki!

— Słyszysz, słowik śpiewa — powiada  
dziadek.



Słowik.

Nastawiam uszy i słucham, słucham, aż  
mi serce bije z radości.

Ptak z początku gwizdał, potem jakby  
próbował głosu swego i w końcu śpiewać  
zaczął.



Nie wiem, jak długo to trwało, ale gdy przerwał, zerwałam się z miejsca, objęłam dziadka za szyję i zaczęłam go wycalowywać, ledwie się ode mnie wyswobodził.

— Skąd się tu wziął słowik? — pytam dziadka. — Wszak dawniej go nie było w ogródku, nigdy nie słyszałam.

— Widocznie przeniósł się do nas z sąsiedniego ogródka, dowiedział się, że właścicielką została dobra dziewczynka, więc postanowił ją zabawić. — Tak żartował dziadek.

Nie spotkałam w ogródku słowika, choć dzień cały w nim przebywam, ale dziadek powiada, że słowiki są tajemnicze i lubią samotność i że kryją się po gąszczach.

— Czy dziadek widział kiedy słowika? — pytam.

— Widziałem, naturalnie, bo znałem zwyczaj tych ptaków i wiedziałem, jak się do nich dostać. Słowik nie lubi, żeby mu się kto przyglądał, natychmiast kryje się w gąszczach; ale jest przytem bardzo ciekawy.

Razu jednego usiadłem na ziemi i zacząłem poruszać ziemię, udając, że czegoś szukam, a po pewnym czasie skryłem się przed

nim w krzaki. Natychmiast po mojem odejściu przyleciał słowik w to samo miejsce, gdzie siedziałem poprzednio — i wtedy miałem sposobność przyjrzeć mu się z blizka.

Dalej opowiadał dziadzio, że znalazł razu jednego dwa gniazda słowików: jedno w ogrodzie pod krzakiem, a drugie w lesie, między chwastami, na ziemi.

Jak to szczęśliwie się stało — że słowiki jadają to, czego mamy w ogródku pod dostatkiem: owady, pająki i robąki, a więc z głodu nie umrą.

Ale jak on śpiewa! wciąż śpiewa, a cisza dokoła niezmacona. Zdawałoby się, że wszystko w ogródku słuca: i ptaki, i motylki, i drzewa, i kwiaty... i księżyc... zatrzymał się na niebie, otworzył buzię i słuca.

Późno już bardzo, jedenasta godzina, babcia jeszcze nie wróciła, dlatego siedzę i piszę...

Szkoda, że słowiki śpiewać przestają, jak tylko piskłeta się wylęgna. Ale to nie zaraz jeszcze nastąpi — dopiero za miesiąc, tymczasem...

O jej! babcia nadjeżdża; zgaszę czempredziej świecę i pójdę do łóżka.



Jutro przyznam się babci do wszystkiego  
i wszystko jej opowiem.

*17-go maja.*

Już i stokrotki zakwitły.



Stokrotki.

Z początku chciałam kwiaty porachować,  
ale nie mogłam: mieszały mi się ciągle, takie  
ich mnóstwo siedzi na jednym krzaczku.

A jak one się rozrosły prędko!

Maciej powiada, że stokrotki wymagają  
bardzo dużo wody. Dobrze! Mam konewkę

z sitkiem, zrobię im taką ulewę — niech się tylko trzymają!

---



Szczypawka poluje na owady.

*19-go maja.*

Pierwszy raz piszę w dzienniczku o żuku, którego życie sama wysledziłam. Ani z książki wyczytałam, ani z opowiadań Macieja wzięłam — tylko z samego patrzenia.

Żuk ów nazywa się szczypawką, nazwę taką otrzymał dlatego, że szczypie; a prze-



konałam się o tem na własnej skórze: uszczypnęła mnie w palec tak boleśnie — ażem krzyknęła.

Nie gniewam się, pomimo to, na niego, gdyż jest to owad pożyteczny: widziałam „na własne oczy“, jak zjadał ślimaki i gonił owady, właśnie postanowiłam go odrysować w chwili polowania na owady. Pokażę Maciejowi, ciekawam, czy pozna.

Zauważyłam także, że ma długie nogi i doskonale biega. Nie wiem tylko o szczypawce trzech rzeczy i muszę się dowiedzieć od ogrodnika: czy szczypawki umieją latać? czy larwy ich są także drapieżne? i czy więcej żerują w dzień, czy w nocy? Zostawię w dzienniczku kilku strofek, a później dopiszę odpowiedź.

---

*25-go maja.*

Jak prześlicznie jest w naszym ogródku, nie umiem tego nawet opisać.

Maciej powiada, że oddawna nie pamięta tak wczesnej wiosny. Trawa już taka duża, że możnaby ją kosić. A co zielska wyrasta na moich grządkach!

Przyznam się że mnie to trochę martwi,

bo dziś wypieję, wyczyszczę grządki, a jutro nowe chwasty rosna.

Maciej jest tak zajęty, że go prawie nie widać; koło drzew owocowych wciąż się uwija, zawsze z robactwem walczy. I skąd on wie o tych wszystkich sposobach tępienia owych szkodników? Dziś widziałam, jak przez cały ranek przyrządzał mydliny z szarego mydła, a potem maczał w niem pędzel i zgarniał owady z gałęzi. Nawet ze mną rozmawia mało, a gdy chcę go o co spytać, to muszę sama biedz do niego; choć nieraz w pośpiechu taką krótką da mi odpowiedź, że mało co dowiedzieć się z niej mogę.

Dziś, pieląc moją grządkę, znalazłam dużą, długą glistę czarną.

Z początku usunęłam się ze wstrętem, ale potem myślę sobie:

Co mam się wzdrygać, lepiej zabiorę to stworzenie i zaniosę do Macieja, niech mi powie, czy je wyrzucić z grządki, czy zostawić.

Glista uczepiła się u kijka i trzymała się go mocno. Niosę i przyglądam się ciągle brzydkiemu robakowi.

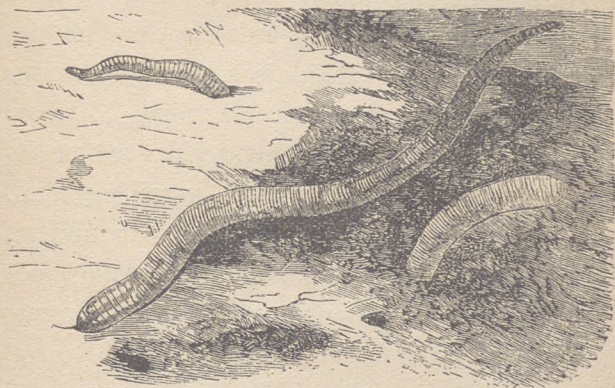
Cóż to za biedne stworzenie!... ani oczu,



ani uszu, ani nóg nie ma. Nawet głowy nie znać. Kto wie, może nie ma jej wcale?

Znalazłam Macieja w ogrodzie owocowym.

— Po cóż to panienka tego robaka dźwiga? — pyta ogrodnik. — Pewno znowu cie-



Glisty.

kawa coś o nim usłyszeć. Widzę, że ich tak się znowu namnożyło. Potrafią one i młode korzonki obgryzać.

— A to z ciebie taki flut! powiadam do robaka, roślinki mi chcesz niszczyć? Macieju, to mi glisty wszystkie kwiatki popsują?

— Cóż to panienka myśli, że ona samymi

tylko korzeniami się żywi? Gdzież tam! nie-  
wybredne to stworzenie — zjada wszelkie ro-  
ślinne i zwierzęce pokarmy, które znajdzie  
w ziemi: stare liście, łupinę nasion, skórę  
pędraka, którą ten zrzucił, gdy mu w niej  
było zaciasno, kawałki drzewa zgniłego i inne  
rozmaite rzeczy. Często bardzo wyłazi na po-  
wierzchnię ziemi i znajduje na niej kawałki  
słomy i papieru; zjeść ich nie może, bo są za  
twarde, lecz bierze je w pyszczek, zanosi do  
ziemi, a gdy tam przegnija — karmi się nimi.

— Glisty nie można nazwać szkodnikiem,  
choć czasem młody korzeń podgryzie, mó-  
wił znów Maciej. Widzi panienka te drobne  
wałeczki ziemi?

— Widzę je dobrze, Macieju, a co to jest?  
Skąd one się tu wzięły?

— Glisty je tu zostawiły; bo gdy nały-  
kają się ziemi, to ją znów napowrót wyrzucają  
w postaci tych wałeczków; a dziadek Naci mówił  
mi, że właśnie taka ziemia przez glistę wyrzu-  
cona, jest najurodzajniejsza. Wreszcie, pełnąc  
w ziemi, glista rozpułchnia nam grunt, a przez  
to łatwiej korzonki przechodzą, roślina prędzej  
się rozwija, woda łatwiej przesiąka.



Aż mi się łżej na sercu zrobiło, gdy posłyszałam tyle dobrego o tem brzydkim stworzeniu.

Wtedy rzuciłam je na trawę i patrzę, jak usiłuje się wyprostować, gdy wtem, nie wiedzieć skąd, wrona się zjawia, dostrzega ją i w jednej chwili porywa.

— Patrzcie, Macieju — zawołałam — wrona zjadła glistę!

— Ma ona w ziemi i na ziemi swoich nieprzyjaciół — odpowiedział Maciej.

Kret nie ominie żadnego dżdżownika, którego na drodze spotka. A niech-no glista po deszczu na powierzchni ziemi się pokaże, wtedy znów wrony, szpaki, wilgi, wróble i inne ptactwo na nią czyhają.

Maciej powiedział mi jeszcze, że glistę zowią też dżdżownikiem i że, gdy znajdziemy dżdżownika w doniczce z jaką pokojową rośliną, to go trzeba wyrzucić, gdyż do doniczek sypiemy dobrą urodzajną ziemię, więc pomocy glisty już nie potrzebujemy, a gdy korzonki zaczną podgryzać, to cała roślina zaczyna schnąć i zginie.

---

30-go maja.

Straszliwy upał mieliśmy dzisiaj. Może dlatego tak ciężko było pracować.

Ogrodnik kosił trawniki, a ja przewracałam trawę i zgrabiałam ją w jedno miejsce. Tak było gorąco, że nawet rozmawiać nie mieliśmy ochoty.

I byłabym może jednego słowa nie powiedziała, gdyby nie przypadek rządził.

Zagarniając trawę, spostrzegłam kilka stworzeń, komicznego wyglądu; musiały to być owady, bo miały sześć nóg i skrzydła i odwłok tak długi, że musiały go wciąż do góry podnosić. Bałam się brać te stworzenia do ręki, gdyż nie wiedziałam, czy nie są złośliwe, więc znowu musiałam udać się do Macieja.

Pocziwy ogrodnik rękami pot otarł z czoła, przyjrzał się owadom i uśmiechnął się, mówiąc:

— A wie panienka, jak one się nazywają? Kusa ki — bo kuse pokrywy mają, widzi panienka, jakie króciutkie skrzydełka?

Zwróciłam też na to uwagę:

— Pewno latać nie mogą.

— Po co im latanie, i bez tego dadzą



sobie radę; czy to mało owadów po ziemi biega? — Te właśnie najgorsze, które nam w ogrodzie najbardziej dokuczają — kusak jednego po drugim chwyta.

— Więc kusaki to pożyteczne owady w naszym ogródku?



Kusak.

— Pożyteczne, naturalnie, a że są bardzo żywe i ruchliwe, więc potrafią i owadów dużo nałapać, a i gnijące rośliny, a czasem i padlinę sprzątnąć.

— Dziwię się, żem dotąd nigdzie kusaka nie spotkała.

— Niech no panienska częściej siano grabi, to ich pod każdą wiązką zobaczy. E... panienska to mnie zawsze skusi na gadanie — powiada Maciej — a robota czeka.

Ale Maciej tak tylko mówi, wiem, że opowiada zawsze chętnie i nigdy naprawdę nie gniewa się, gdy go o co pytam.

Udaję też bardzo zafrasowaną i powiadam:

— Maciej mi też głowę zawraca jakimiś kusakami, a siano kto przewracać będzie?

Powiedziałam w ten sposób „na niby“ — i Maciej pewno się domyślił, bo uśmiechał się pod wąsem.

A tu słońce coraz bardziej dopiekało. Pracowaliśmy dopóty, aż cała łączka nie była skończona.

Po skończonej robocie założyłam grabie na plecy i poszłam do domu.

Udaję dziewczynę dworską, która wraca z pola.

A że umiem nawet wiejskie piosenki, więc na cały głos śpiewałam:

»Chyżo, jaskółeczko,  
Leć-że do nas, leć!



Ty złote słońeczko,  
Świeć nam jasno, świeć!  
Oj dana, dana!«

A dziaduś usłyszał.  
Zawołał mnie do siebie, i musiałam mu  
wszystko opowiedzieć, co robiłam.  
Oj, wesoło jest w lecie!

---

*10-go czerwca.*

Dawno już, bardzo dawno nie pisałam  
w dzienniczku, ale bo też nie moja wina w tem  
była. Zachorowała moja ciocia, więc razem  
z babcią pojechałyśmy do niej.

Kocham bardzo ciocię, ale przyznam się,  
że u niej nudziłam się trochę. Ogród tam ła-  
dny, duży i kwiatów mnóstwo, ale ja zawsze  
wolę mój ogródek. Nie wiem dlaczego, gdy  
jestem w nim, to mi tak przyjemnie, tak we-  
soło, ciąglebym się tylko śmiała.

Ileż zmian zastałam w ogródku! Mnóstwo  
roślin kwitnie, róże już się porozwijały.

Jedno tylko mnie martwi, że dużo znów  
zielska powyrastało! Maciej nie może nadażyć  
z wrywaniem.

Naturalnie, że natychmiast zabrałam się do swoich grządek i miałam przytem bardzo nieprzyjemny wypadek.

Wyrwałam trawę; wszystko szło dobrze, gdy naraz z zielskiem razem biore pokrzywę, bo któżby ją tam poznał. Rzucam ją czempredzej, a ona mnie chlast! chlast! i liściemi po ręce parzy... Zaraz poznałam, że to nie innego, tylko pokrzywa, bo mnie ręka zaczęła swędzić. Pocieram mocno o fartuszek, ale jeszcze gorzej mię ręka pali, boli, powyskakiwały duże białe bąble...

Ach, jakie to nieprzyjemne! Gdybym była małą dziewczynką, tobym okrutnie płakała, bo to naprawdę boli.

Idę więc do Macieja. On taki mądry, może mi na to co poradzi. I nie omyliłam się; poradził.

— Niechno panienka pójdzie do babci — powiada — i poprosi, żeby rączkę amoniakiem oblała, a niezadługo ból ustąpi.

Uśluchałam ogrodnika.

Z początku amoniak zaczął mnie silnie szczypać w rękę, ale to niedługo trwało, i powoli ból przeszedł.



— Powiedźcie mi, mój drogi Macieju — powiadam — co to za szczególne zielisko ta pokrzywa? Kolców nie ma, a tak rani ciało...

— Bo to, widzi panienka, na wygląd taka sama roślina, jak inna, a w rzeczywistości odmienna.

Maciej urwał gałązkę pokrzywy i zbliżył się do mnie.

— Widzi panienka malutkie białe włoski na listkach i łodydze? To właśnie one nas kaleczą...

Podobno włoski te są cieniutkimi rureczkami, napełnionymi piekącym sokiem. Rureczki są przytem bardzo kruche, więc łatwo koniec ich się odłamuje, gdy dotkniemy pokrzywy, a gryzący sok sprawia niemiłe palenie.

— A Maciej bardzo się oparzył? — pytam — proszę pokazać!

Ogrodnik rzucił pokrzywę, otworzył rękę, ale żadnego znaku na niej nie było.

— Dlaczego Macieja nie kłuje pokrzywa? — pytam.

— Bo umiem sobie z nią radzić; panienka też potrafi! Trzeba tylko śmiało i mocno uchwycić łodygę pokrzywy, a wtedy rurek nie zła-

miemy, tylko przygniemy je do łodygi lub listka i nie nam złego nie zrobią.

„Dobrze i to wiedzieć“, pomyślałam sobie.

*11-go czerwca.*

Jakieby to smutne lato było, gdybym mego ogródka nie miała.

A teraz, jak babcia mówi często, co godzina — to nowina.



Goździki.

Codzień nowa roślina rozkwita. Szkoda wielka, że przez ten wyjazd tyle czasu zmarnowałam, nie wiem który kwiatek wcześniej, który później się rozwinął.



A teraz mamy ich już mnóstwo. Rumianek, goździki czerwone i białe, różnokolorowe bratki i wiele innych.

Prześlicznie wygląda mak! Szkoda tylko, że tak prędko więdnie.

Rezeda też już rozwinięta, z daleka poznałabym ją po zapachu.



Rumianek.

Wczoraj zakwitła bardzo ciekawa roślina, nazywa się „lwia paszcza“.

Co prawda nie widziałam lwa, ale kwiat podobny do jakiejś paszczy.

Czasem ma otwarte wargi, jakby chciał krzyczeć.

Lwie paszcze bywają czerwone, białe i żółte.

Maciej powiada, że jest to bardzo wygodna roślina. Po przekwitnięciu można przyciąć kępki,



Lwia paszcza.

a z łodygi wyrosną nowe pędy i zakwitną powtórnie.

---

*13-go czerwca.*

Muszę dziś koniecznie o jednej rzeczy napisać i już o niczem więcej, bobym wszystko pomieszała: a to rzecz bardzo ważna.

Dlaczego bywają puste orzechy?

Wokoło całego muru rośnie u nas leszczyzna. Ja sama co rok mnóstwo orzechów zbieram, mnóstwo zjadam, ale nigdy nie wiedzia-



łam, dlaczego ich się tyle trafia bez jąderka?  
A to wszystkiemu winien ten psotnik mały  
owad, którego mam przed sobą. Na obrazku  
bardzo go zwiększyli, ale naprawdę jest on  
mniejszy od paznogcia na najmniejszym palcu.



Mak.

Poznać go łatwo: szary w ciemne centki. Głowę  
ma z przodu wydłużoną nakształt ryjka, a przy  
pyszczku maleńkie różki — takie małe, że można  
je dojrzeć tylko przez szkło powiększające, a ta-  
kie ostre, jakby dobrze wyostrzona piłka. Owe  
różki zastępują zęby temu owadowi.

Przechadza się on po leszczynie, przechadza, niby ogląda, czy wielki jest w tym roku urodzaj na orzechy...

Wiadomo, że orzechy wiszą po trzy lub po cztery razem na gałęziach. W czerwcu, gdy są jeszcze niedojrzałe, owad dostaje się do nich i zaczyna próbować, na którym dołąd łupina nie stwardniała. A taki zawsze się znajdzie.

Psotnik bierze się do piłowania orzecha, dopóki nie zrobi dziurki. Następnie kładzie w tym otworze jajko i trąbką posuwa je wgłąb orzecha, ażeby spoczęło na samem jąderku.

Po kilku dniach z jajeczka wylęga się mała liszka, zaczyna się ruszać i po drodze napotyka jąderko. Zapraszać jej nie trzeba; sama bez ceremonii zaczyna zajadać.

Gdy deszcz pada, gdy zimno, a pod wiatrem uginają się drzewa, liszka nic o tem nie wie; wygodnie jej w skorupie orzechowej. Onaby może całe życie tam spędziła, ale w orzechu jest tylko jedno jąderko. Zresztą liszka z dniem każdym rośnie, więc po dwóch tygodniach za ciasno jej już w domku: musi wychodzić. Przegryza skorupę, wylazi z otworka



i bęc! na ziemię spada. Inne stworzenie toby się na śmierć zabiło, ale ona nie; jej to nawet na zdrowie wychodzi, bo tylko zagrzebie się w ziemię i przemienia tu w poczwarkę.

Długo tak przebywa w ziemi, czasem rok cały, dopóki z poczwarki nie przemieni się w doskonałego owada.

I znowu broić zaczyna.

A orzech z dziurą wciąż się rozrasta, czasem otwór się zasklepi, i w tem miejscu tylko malutka plamka zostaje. Nikt się nie spodziewa, że już jąderko dawno zjedzone.

Całą tę historję opowiedział mi Maciej — doprawdy, nie żaden nauczyciel, tylko nasz stary Maciej.

---

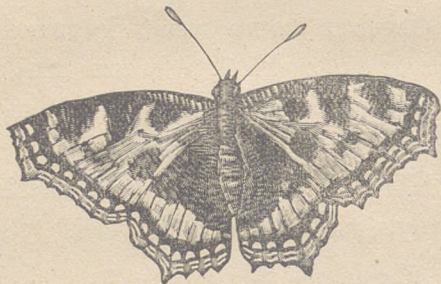
*14-go czerwca.*

O, nigdy, nigdy nie będę łapała motylków, ani w siatkę, ani ręką!... Choćby nawet na mnie usiadł, tobym go nie ruszyła. A siatkę na motyle porwę, zniszczę i spalę.

Biedne motylki! one tak krótko żyją. Niektóre kilka dni tylko. Gdy się do rąk je weźmie, natychmiast spada pyłek z ich skrzydełek. One

wcale latać nie mogą bez tego pyłku i muszą kryć się gdzieś pod listkiem.

Ze wszystkich motyli najczęściej podoba mi się pokrzywnik. Zwyczajny sobie czarny w czerwone centki, ale za to najpożyteczniejszy. Na brzegu skrzydeł ma też centki bledo niebieskiego koloru.



Pokrzywnik.

Niszczy on zielsko niegodziwe, zwane pokrzywą; a że niszczy, to na własne oczy widziałam.

Dziś Maciej powiada do mnie:

— Ot, gniewała się panienka na pokrzywę, chciała ją powyrywać, a tu znaleźli się inni tępiciele. Niech no panienka patrzy, jakie tu mnóstwo liszek.



Zbliżam się, patrzę, a tu może ze sto gąsienic pokryło liście pokrzywy i niektóre tak objadły, że tylko żyłki zostawiły.

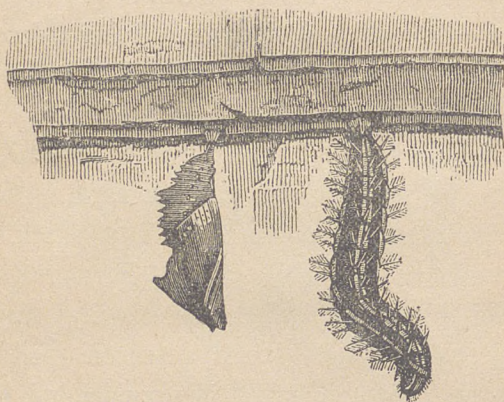
— Skąd one się wzięły? — pytam ogrodnika.

— Poczciwy motyl pokrzywnik złożył tu jaja i przylepił je do łądygi. Włoski pokrzywy przykryły je, słońce przygrzało, i po kilkunastu dniach wylęgły się z nich małe gąsienice. Kiedy wyrzały na świat, były już sierotami, bo matka po złożeniu jaj zaraz umarła. Motyle bowiem zawsze giną po złożeniu jajeczek. Musiały więc same sobie radzić. Razem zawsze śmieiej i weselej, więc postanowiły trzymać się jedna drugiej. Przed deszczem pod listkiem się chowały; przed nieprzyjaciółmi kryły się do torebki, którą sobie usnuły z pajęczynki. Apetyt mają wyborny, a na jedzeniu im nie zbywa, bo pokrzywa gęsta, jak las.

Gąsienice rosną bardzo prędko; skóra staje się dla nich za ciasną, więc ją zrzucają i pokrywają się nową.

Wreszcie nabierają sił i tak rosną, że nie mogą się pomieścić na jednej łądydze, więc wędrują dalej.

Coraz apetyt ich się wzmacnia; teraz przez dzień cały i noc jedzą. Przeszają jeść tylko wtedy, gdy im kto przeszkodzi. Wówczas podnoszą głowę, obracając ją na wszystkie strony. Cóż to za żarłoki!



Poczwarka.

Liszka.

Jeżeli dojrzą ptaka, natychmiast wypuszczają z siebie pajęczynkę, przyczepiają ją do listka, spadają na ziemię i kryją się wśród trawy; pajęczynka służy im za linę.

Skoro niebezpieczeństwo minie, liszka wchodzi znowu na liście i znowu tę samą robotę zaczyna.



Oneby rade wszystkie pokrzywy w ogrodzie objeść, ale nie bardzo się dobrze czują — senność je ogarnia.

Wtedy wybierają sobie spokojne miejsce, wypuszczają z siebie trochę przędzy, przyczepiają się do niej ostatnią parą nóg i zawieszają się głową na dół.

W taki sposób zawieszone gąsienice wykonywują rozmaite ruchy, zwracają głowę ku górze, obracają się naokoło, rozrywają na sobie skórkę i wysuwają się z niej. Nareszcie przemieniają się w poczwarki.

Dziwny widok przedstawia poczwarka.

Nie umiem jej nawet opisać, wołałam ją wyrysować.

Poczwarka wisi, jakby uśpiona, nie rusza się i nie jada.

Po czternastu dniach powstaje z niej owad. Domek dla niego już za ciasny, rozrywa też go czempredziej i wychodzi, jako motyl. Ale latać jeszcze nie może, bo ma słabe i wilgotne skrzydełka.

Słonko jednak prędko skrzydła wysuszy, motyl je wyprostuje i polecą w świat daleki.

---

18-go czerwca.

Prawdziwą niespodziankę sprawił mi Ma-  
ciej.



Pewojnik.

Powiada dziś: Niechno panienska zajrzy do  
inspektów, czy tam jeszcze są kwiaty?



Pobiegłam. Zbliżam się, a tu zamiast muru, przy którym stoi skrzynia, widzę błękitną ścianę z powoju. To powój tak się rozrósł.

— Macieju, Macieju! — zawołałam — a Maciej stoi za mną.

Ażem się zawstydzila, bo żadnego interesu nie miałam do niego i nie wiem sama, czemu krzyknęłam.

— Bardzo podoba się Naci nasz mur? — pyta ogrodnik z uśmiechem.

— O, bardzo! Kiedy to zdążyło urosnąć?

Powojnik bardzo prędko rośnie; musi tylko mieć dużo światła i ciepła, a że to jest strona słoneczna, więc urósł, jak na drożdżach.

Domyśliłam się, że po to mnie Maciej do inspektów wysłał, bym zobaczyła powój. Ach, jak tam przecudnie! Często będę zaglądała do inspektów.

---

*25-go czerwca.*

Dziś na liściu dostrzegłam nowego gościa — Bożą krówkę.

Poznałam ją zaraz po wypukłych skrzydełkach czerwonych i po czarnych kropczkach.

— A! dzień dobry — zawołałam — jak się pani miewa?

Owad się zatrzymał, skulił nóżki; siedzi nieruchomy, możnaby pomyśleć, że martwy.

Musiał się mnie przestraszyć.

Długo trwało, nim mój gość dał znak życia, lecz doczekałam się.



Boża krówka.

Idzie sobie nareszcie drobnymi krokami, przechodzi z kwiatka na listek, a z listka na łodyżkę i staje.

Co widzę? objada mszyce...

— Pięknie, bravo! bardzo mi przyjemnie gościa takiego mieć u siebie. Niechże pani będzie łaskawa jak najczęściej nas odwiedzać!



Maciej się bardzo ucieszy, gdy mu powiem, że Boża krówka mszyce zjada; on wczoraj strasznie wyrzekał na nie. Powiada, że róże dobrze kwitnąć nie mogą, gdyż mszyce sok z nich wypijają.

Pobiegłam prędko, poszukałam Macieja i opowiedziałam mu o Bożej krówce.

— Moja panienko — powiada mi — ta biedronka (tak nazwał Bożą krówkę) jest naszym pomocnikiem; trzeba ją kochać i cenić. Nie dość na tem, że sama zjada mszyce, ale dzieci jej tępią je zawzięcie.

Na młodziutkich liściach, gdzie najwięcej mszyc siedzi, biedronka składa około dwudziestu jajeczek. Po kilku dniach wylęgają się z nich małe liszki, takie małe, jak pół paznogcia na małym palcu panienki.

— To nie duże — pomyślałam sobie.

— Liszki owe są czarne, obrośnięte włoskami, a jakie zwinne, jakie żarłoczne! Po całym kwiatku sobie chodzą i zjadają mszyc takie mnóstwo, że policzyćby było trudno. Później liszka biedronki staje się poczwarką, a z niej po czternastu dniach wydobywa się Boża krówka, taka sama ładniutka, jak ta,

która do nas przysła: główkę ma czarną, sześć nówek i mocno błyszczące skrzydełka czerwone, w czarne centki. Pod temi skrzydełkami są jeszcze inne, cieniutkie, przezroczyste. Widzieć je można tylko wtedy, gdy biedronka podnosi się do lotu.

— Tak! — kończył swe opowiadanie Maciej — niektóre owady są bardzo pożyteczne; oby ich jak najwięcej było!...

---

*1-go lipca.*

Widziałam dziś na drzewie duże gniazdo osy. Tyle razy siedziałam w tem miejscu i nie spostrzegłam; a to dlatego, że ma zupełnie taki kolor, jak gałęzie. Chciałam zdjąć owo gniazdo, lecz Maciej powiedział, że to niebezpiecznie; mogą w niem siedzieć młode owady.

Cieszyłam się bardzo, że raz przecie mogę się przed Maciejem pochwalić mojami wiadomościami. Powiedziałam, że gniazdo osy złożone jest z komóreczek malutkich, sześciokątnych, przykrytych płatkami, podobnymi do szarej bibuły. Nawet całe gniazdo tak wygląda, jakby je kto z szarej, grubej bibuły wybudował.



Maciej patrzy na mnie, uśmiecha się i głową  
kiwa.



Gniazdo osy.

— Wiem także — mówię dalej — że w tych  
komóreczkach składają osy swe jajka, że z nich  
wylęgają się małe gąsieniczki, które później za-

mieniają się w poczwarki. Ot, tam, gdzie komórka jest zalepiona, siedzi napewno taka poczwarka; przemieni się ona w osę, rozerwie przykrywkę i wyleci. Wiem również, że na zimę prawie wszystkie osy umierają...

Prawiłam tak prędko, aż mi tchu zabrakło.

— Niechże raz przecie ten mądrała mi posłucha — myślę sobie.

— No, no — powiada ogrodnik — skądże to panienka tylu rzeczy się dowiedziała?

— A tak, z własnego rozumu! — odpowiedziałam mu.

A śmiać mi się chciało, bo ja to wszystko wczoraj z babcią razem w książce wyczytałam. Naprawdę, tam wszystko o osie było napisane, i nawet sama osa była wyrysowana.

— Skoro już panienka powiedziała, co wie, teraz na mnie kolej.

— Co o osach? — pytam. — Już nic nie ma do powiedzenia. A! prawda, przypomniałam sobie, jest jeszcze: jak wyglądają? Wiem i to. Podobne są do pszczoły, tylko nieco ściągłejsze, czarne w żółte prążki.

— Ale jednak — mówi Maciej — panienka nie powiedziała najciekawszych rzeczy o osach.



— Przepraszam bardzo, ale nic więcej nie ma, i ostatnie słowo jest: „umierają“.

— Gdzie jest ostatnie słowo? — pyta Maciej.

— W mojej książce... — ażem się w język ugryzła; a tom się złapała! Zawsze tem gadaniem sobie tylko szkodzę.



Osy.

Naturalnie, że Maciej w śmiech na te słowa i domyślił się, skąd to wszystko wiem.

— Przecież te wiadomości miały być z własnego rozumu? A to się złapała panienka! No, nic nie szkodzi, książka też prawdę mówi. Jak Nacia pożyje tyle, co ja — mówi do mnie — to z własnego rozumu będzie dużo wiedziała. Otóż powiem teraz panience to, czego w jej książce nie było. Miałem lat dziesięć, kiedy zostałem pomocnikiem ojca mego, który był wtedy

ogrodnikiem. Pracy naturalnie miałem niemało, a w czasie wolnym, przeznaczonym na wypoczynek, łąziłem za rozmaitem robactwem. Każdy owad, każdy robak tak mnie zajmował, że spokoju nie miałem, dopókim się wszystkiego o nim nie dowiedział. Pamiętam, jak dziś, że razu jednego ugryzło mnie coś bardzo w rękę. Patrzę, a to osa, tylko znacznie większa, niż te, które dotąd widywałem. Ręka mi spuchła, boli, pali, ale ja nie zważam, tylko po ogrodzie nowej osy szukam i nie bezskutecznie: spotkałem nie tylko osę, ale i jej gniazdo. Od tego czasu wszystkie moje wolne chwile spędzałem przy tem gnieździe. Pogryzły mię osy, chodziłem czasem spuchnięty, jak nieboskie stworzenie, ale nie żałuję tego, bo dowiedziałem się mnóstwa ciekawych rzeczy. Otóż okazało się, że to nie była osa zwyczajna, lecz z gatunku tych, które robią sobie podziemne gniazda. Najpierw jedna taka osa zbliża się do miejsca, już zawczasu wybranego, i przednimi łapkami zaczyna grzebać ziemię. Już jej się głowa w dziurze chowa, a jeszcze nie dość, wciąż grzebie. Zmęczy się nareszcie, wysunie się na wierzch i niby wypoczywa, przednimi



łapkami ryjek sobie pociera — takie już ma przyzwyczajenie — i znowu wraca do roboty. A tak głęboko grzebie, że się cała w ziemi schowa. W końcu widzę, że robota skończona, bo osa już nie siedzi w dziurze, tylko lata. Lata i co chwila do owej dziury coś przynosi: to drzazgę drzewa starego, to kory kawałek. Czasem biedactwo dźwiga taki kawał drzewa, że zmieścić go w norę nie może; posuwa, pcha i, gdy złamie, wtedy ciągnie do środka oba kawałki, a innym razem musi rzucić i po inne lecieć. Otóż niech panienka sobie wyobrazi, że ten owad w ziemi zrobił takie same misterne gniazdo, jak to, co tu wisi. Potem złożył jajka i, zaczął szykować zapasy dla swych przyszłych dzieci. Sama osa zjada byle co: to miodu z kwiatów wyssie, to muszkę lub komara gdzie złapie; ale jej dzieci wolą pokarm mięsny, więc matka szuka na liściach młodej liszki. Skoro ją znajdzie, kłuje żądłem jadowitem, lecz nie zabija swej ofiary, tylko ją ogłusza zupełnie i ubezwładnia — tak, że biedne stworzenie ruszyć się nie może i zostaje na miejscu. Wtedy osa zabiera nawpół martwą liszkę i leci, trzymając ją przednimi łapkami. Zdobyecz czasem bywa

większa od niej samej; nieraz osa na ziemię spada, ale niezmordowana, podnosi się i dźwiga ciężar, póki nie doniesie go do swej nory. Wtedy i dzieciom ucztę z niej wyprawi. A to mądre stworzenie! Wciągając liszkę, kopie piasek przy gnieździe, aby kto kryjówek nie spostrzegł, sama włazi inną dziurą i zarównywa wygrzebane miejsce. Małe osy prędko rosną i zamieniają się w poczwarki, które śpią, póki się nie zamienia w owady. Wtedy wylatują z ziemi i zaczynają tę samą pracę, co ich matka.

Muszę się przyznać panience — kończył Maciej — że wydostałem wtedy z ziemi gniazdo osie; może i źle zrobiłem, ale ciekawość brała mnie taka, że wytrzymać nie mogłem.

---

*5-go lipca.*

Jak teraz pięknie w naszym ogródku!... Wszystkie prawie kwiaty rozkwitły. Róż mamy mnóstwo, niektóre już więdną; lewkonie różowe, białe i żółte rozwijają się z każdym dniem. A najwięcej cieszę się z klombiku, który urządziliśmy dla babci: pośrodku rosną na nim



heliotropy, a wokół rezed. Jak to pachnie!  
Ten miesiąc chyba jest najlepszy dla kwiatów!

Dziś zrobiłam babci niespodziankę.

Przyniosłam krzesło, koszyk z robotą i postawiłam je przy klombiku. Babcia zaczyna szukać swojej roboty, a ja podchodzę, biorę babcię za rękę i powiadam:



Lewkonია.

— Zaprowadzę babciunię do koszyka. —  
I przyprowadziłam do klombu z kwiatami.

Widziałam, że babcia bardzo była temu rada; zaraz z twarzy poznałam. Pocałowała mnie w głowę i powiedziała:

— Moje ty dziecko drogie!

Gdy babcia tak powie, to znak, że jest zadowolona.

Później babcia usiadła na krzeselku i długo przyglądała się kwiatkom. A ja wzięłam stołeczek i usiadłam przy jej nogach.



Rezeda.

— Jestem u ciebie z wizytą — powiada babcia — musisz mnie bawić, ażebym się nie znudziła.

Prawda, pomyślałam, ale czymże zabawić?

Pobiegłam do klombika, urwałam parę kwiatków pachnących, zrobiłam bukiet i przypięłam babei do sukni. Później zaśpiewałam pio-



senkę o „Kukułeczce“ i „W naszym ogródeczku są tam śliczne kwiaty, czerwone różyczki i modre bławaty“ — bo te dwie babcia najlepiej lubi.

— A teraz możebyś mi co opowiedziała. Gdy jesteś w moim pokoju, ja ci opowiadam



Heliotrop.

bajki; ale teraz ja jestem twoim gościem, na ciebie przypada kolej...

Myślę, myślę, co tu opowiedzieć? Bajeczki z mojej książki babcia wszystkie zna, bośmy je razem czytały; Maciej bajek nie opowiada...

A!... przypomniałam sobie, — powiem to, o czem od ogrodnika słyszałam.

— Dobrze — powiadam — mam już bajkę  
bardzo ciekawą, ale bardzo straszną...

Babcia wzięła robotę do ręki i z uwagą  
słuchała.



Turkuć.

Było to bardzo dawno (to wcale nie dawno  
było, ale tak się zwykle bajki rozpoczyna). Żył  
sobie na świecie turkuć. Był to duży i bar-



dzo straszny owad; kto go tylko zobaczył, uciekał przed nim. Ale turkuć nie bał się niczego i nikogo; mógł chodzić po ziemi i w ziemi, a gdy chciał, to i latał niezgorzej w powietrzu. Nie znał on żadnych przeszkód, posiadał zawsze wszystko, czego zapragnął. Gdy miał apetyt na pędraka, wlaził w ziemię i szukał go, dopóki nie złapał. Chciał żuka jakiego, wyłaził na powierzchnię ziemi, a żuk biedny ze strachu zapominał o ucieczce, i w jednej chwili wpadał w paszczę potwora.

Niewiadomo, jak długo żył ów turkuć, ale to pewna, że wiele nieszczęść i szkód wyrządził.

Otóż razu jednego postanowił wybudować sobie pałac do własnego użytku. Trzeba było obrać stosowne miejsce.

Zwiedził wszystkie pola, łąki, ogrody i znalazł nareszcie miejsce suche i spokojne; było to w ogrodzie, w ziemi.

Najpierw trzeba było zrobić korytarz. A że turkuć ma przednie łapy krótkie i bardzo mocne, ostro zakończone, więc dalejże niemi grzebać. Natrafił właśnie na miejsce, gdzie wyrastało dużo korzeni kwiatów letnich, ale cóż go mogą kwiaty obchodzić? Korzenie, ponieważ

mu zawadzały, poprzecinał, poprzegryzał i tym sposobem mnóstwo kwiatów zniszczył ze szczętem.

Kilka dni zawzięcie turkuć pracował i nareszcie wykopał długi, ślimakowaty korytarz podziemny.

Korytarz ów prowadził do jaskini, wielkości kurzego jajka. Ściany owej jaskini lepił turkuć, mieszając ziemię z własną śliną. Odtąd zaczął dłużej w owem mieszkaniu przesiadywać.

Widać jednak, że sprzykrzyła mu się samotność, bo postanowił pójść w świat, tak, dla przyjemności.

Długo latał po świecie, dużo widział różnych stworzeń małych i dużych, brzydkich i ładnych, ale z żadnem się nie przyjaźnił. Nareszcie napotkał podobnego do siebie potwora i umiłował go nadewszystko. Był to także turkuć, taki sam szary, tak samo przednie nogi miał w bok zwrócone.

Przyjaciele bardzo się pokochali i wyprawili sobie wesele. Zaproszono dużo krewnych i znajomych, a świerszcze im przygrywały.



Zabawa trwała do rana. Turkucie się zabawily bardzo dobrze. Od tego czasu zamieszkały razem i prowadziły życie bardzo wygodne. Łaziły pod ziemią, goniły pędraki i niszczyły wszystko, co im po drodze zawadzało.

Po jakimś czasie pani turkuciowa złożyła jaja. Rodziców nie było w domu, gdy z jaj wylęły się małe turkucie. Zrobił się ruch i zamęt, niby w ulu: małeństwa porzwały się po całym mieszkaniu. Wtem nadeszli starzy. Nie spodziewali się, że tyle młodych znajdują w mieszkaniu. Zamiast cieszyć się, popieścić dzieci swoje, zaczęły je zjadać...

Tak, moja babciu, te potwory pożerały własne dzieci...

I byłyby może zjadły wszystkie młode, gdyby biedaczki nie pochowały się w ciemne szpary ziemne.

Tak! turkucie to potworne stworzenia.

Po dokonaniu owej zbrodni, wybrały się na przechadzkę, chciały bowiem spojrzeć na słońko, które dopiero co wstało...

Wyłazi najpierw jeden turkuć i rozgląda się po ogrodzie, gdy wtem staje przed nim

olbrzym. Trzymał on w ręku łopatę, zbliżył się do turkucia i ciężkiem narzędziem go przycisnął, mówiąc:

— Stój, potworze jakiś, ladaco! Dam ja ci tu rabować i rośliny mi niszczyć!...

I rozgniewany, jeszcze mocniej owada przycisnął.

Turkuć wił się z bólu, chciał ująć śmierci, ale olbrzym był silniejszy od niego i zgniótł go na miazgę. Towarzysz zabitego podobno bardzo rozpaczał. Ale za to wielka radość zapanowała wśród pędraków, owadów podziemnych i robaków. Długo nie wiedziały, kto był owym olbrzymem, aż nareszcie domyśliły się, że to był... Maciej...

Tak! owym olbrzymem był nasz ogrodnik.

— Prześliczna bajka, bardzo zajmująca! powiedziała babcia, całując mnie.

— A czy się babcia bała? — zapytałam — bo to straszna historia!

Babcia powiada, że bała się wtedy, gdy opowiadałam, że turkucie zaczęły dzieci swoje zjadać. Ale mnie się zdaje, że babcia żartuje, bo, mówiąc to, uśmiechnęła się do mnie.



Babcia pewno ani się domyśla, skąd ja umiem tę bajkę. Ale przynajmniej zabawiłam mojego gościa.

O jedno się tylko obawiam; babcia pewno myśli, że to bajka, jak wszystkie inne; a przecież to jest prawda, co mówiłam! Trzeba bę-



Łubin niebieski.

dzie nad tem pomyśleć, jakby babcię przekonać, że turkucie są na świecie...

A! zapomniałam napisać jednej rzeczy: Maciej mówił, że turkucia nazywają czasem podjadkiem, zapewne dlatego, że podjada korzenie, łażąc pod ziemią.

*7-go lipca.*

Dziwna rzecz! Dawniej spałam do dziewiątej, a teraz budzę się o szóstej razem z babcią, i spać mi się nie chce. Zaraz zaglądam w okno, aby zobaczyć, jaką mamy po-



Lilia.

godę, i biore się do pracy. Kwiatów różnych jest немало, więc i roboty przy nich dosyć.

Największą mam biedę z robactwem.

Rozwinęło się mnóstwo pachnących kwiatów; kwitnie też łubin niebieski, lilie, groszek



pachnący, który tak ładnie pnie się koło ty-  
czek! Ale cóż z tego! obsiadły go mszyce



Nieśmiertelnik.

i gotowe objeść wszystkie liście. Jeszcze Ma-  
ciej o tem nie wie; muszę mu powiedzieć.

Nieśmiertelniki też zakwitły. Nie pachną, ale ładne są, i należą do najtrwalszych kwia-



Groszek pachnący.

tów. Tych suszyć nie potrzeba. Ledwie się rozwiną, już są, jak słoma, suche i twarde.

---

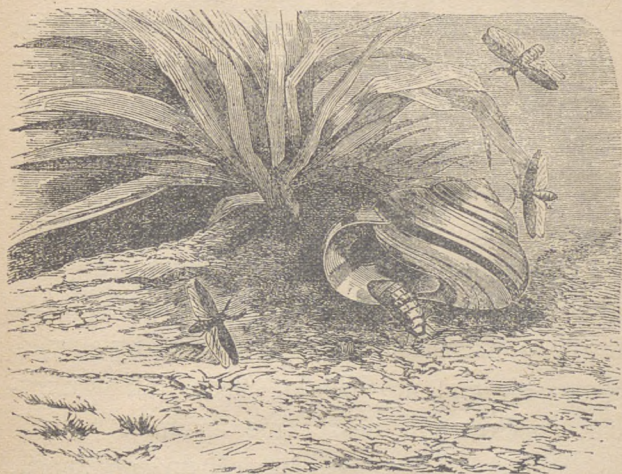
8-go lipca.

Dziś pierwszy raz w życiu widziałam ślimaka, ale nie tego, który w wodzie siedzi i ma muszelkę, z dwóch części złożoną, tylko.. jakże go to nazwał Maciej?

Zapomniałam!



A, wiem już, wiem: ślimak winnicowy. Muszę dziesięć razy powtórzyć i pięć razy to samo słowo na piasku napisać, za karę, że zapomniałam.



Ślimak winnicowy.

Byłabym i teraz może nie wiedziała, ale że mi ogrodnik wytłómaczył, skąd nazwa winnicowy, więc już pamiętam. Ślimak ów najczęściej siedzi w winnicach i objada liście wina; stąd otrzymał taki przydomek.

A jednak my wina nie mamy, a ślimak znalazł się i w naszym, to jest w moim ogródku...

O! to szkodnik. Tak, do szkodników zaliczyć muszę ślimaka. To wcale nie plotki, że on przez całe lato objada delikatne liście roślin. A jaki przebiegły. Na żer wychodzi z rana, bardzo wcześnie i późnym wieczorem. Nie więc dziwnego, że go nigdy nie spotkałam. W dni dżdżyste za to, kiedy nikt do ogrodu nie zagląda, je przez dzień cały.

Nawet nieprzyjaciół nie może mieć wielu, bo któżby go wydostał z jego skorupy, w której się kryje. Ale za to prawdziwym jego wrogiem jest gorąco letnie. Wtedy kurczy się, kręci, otwór w muszli przykrywa błoną, byle tylko gorąco się tam nie dostało. Siedzi tak w ukryciu, dopóki znów deszcz nie upadnie.

Podobno nie znosi również dużego zimna. Już na jesieni ślimaki włączają pod mech, pod liście suche, czasem głęboko chowają się w ziemię i mocno zasypiają.

Ale niema obawy! Obudzą się, i nie im złego nie może się przytrafić; otwór w muszli zalepiły masą wapienną, by im znów zimno zbyt nie dokuczało.



Skąd dowiadują się one o powrocie wiosny? Byle słońko cieplej zagrzało, już wylażą. Kopia wtedy nieduże doły w ziemi, składają w nie jajka i przysypują ziemią. Po pięciu albo sześciu tygodniach wychodzą z nich małe ślimaki, tylko jeszcze bez skorupy. Maleństwo to nie lepsze od rodziców swoich; za pokarm służą im również rośliny, a w dodatku bardzo młode. Widać, że idzie im to na zdrowie, bo rosna, jak na drożdżach; ku końcowi lata mają rozwiniętą skorupę i są już zupełnie do rodziców podobne.

A jak on dziwnie chodzi, ten ślimak!

Ma tylko jedną gołą nogę i przy jej pomocy posuwa się; cóż więc dziwnego, że tak wolno?

Brzydkie to stworzenie: ciało ma miękkie, bez kości, mokre i zawsze ślizkie — pfe! nie mogę się dość nadziwić, jak można coś podobnego włożyć w usta...

A jednak Maciej powiada, że w niektórych krajach smażą ślimaki na maśle i zjadają, jako największy przysmak!

Jedną rzecz ma ślimak ładną: to różki na głowie. Nie zawsze je wprawdzie chce poka-

zać. Musiałam aż sześć razy powtórzyć: „Ślimak, ślimak! wysuń rogi, dam ci sera na pierogi“ — zanim je wysunął. Różki te są cieniutkie, a na końcu mają czarne kropeczki: są to oczy.

Dziwna rzecz, że ślimaki mogą owe różki wciągać w siebie zupełnie, jak palec od rękawiczki.

Nie wiedziałam, jakim sposobem ślimak może zrobić taką mocną skorupę. Maciej powiada, że ma on gruczołki, które wypuszczają z siebie masę wapienną, i z niej to powstaje skorupa.

Miałam już odejść, a tu Maciej zatrzymuje mnie mówiąc:

— Jeżeli panienka jest taka ciekawa ślimaków, to niech pozna jeszcze jednego, podróżca — jeszcze większego szkodnika, niż poprzedni.

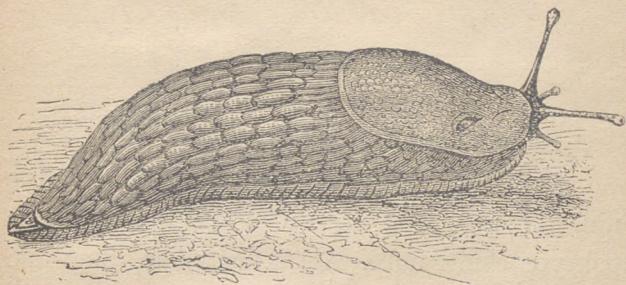
Ogrodnik obejrzał kilka listków sałaty, urwał jeden z nich i pokazał mi ślimaka podróżca. Siedział na lewej stronie listka z początku spokojnie, a potem zaczął się wyciągać coraz bardziej, coraz bardziej... a wtedy zoba-



czyłam nagie, szare ciało z niewielką tarczą na grzbiecie i z czterema różkami.

O, wiedziałam, że Maciej nie lubił ślimaków, bo i o podróżcach odzywał się złośliwie, darząc je rozmaitemi przezwiskami.

Opowiadał, że, dopóki są małe, siedzą nad rowami, stawami, na mchu lub pod parkanem,



Podróżec.

a gdy podrosną, wszystkie przeprowadzają się do ogrodu warzywnego na kapustę, sałatę, fasolę, bób i objadają je nielitościwie. Ot, taki sobie mięczak, a ma rozum: w dzień siedzi, zwinięty gdzieś pod listkiem lub w ziemi, boi się, żeby go żaba lub jaki ptak nie spostrzegł, a dopiero w nocy, kiedy w ogrodzie jest ciemno i wilgotno, na żer wyłazi.

Wygląd podróżca jest taki prosty, że mogę go odrysować.

Wszystko to dobrze, ślimaczki moje, ale bądź co bądź należycie do nieprzyjaciół ogrodu. Bardzo się tem martwicie? No, niech tam będzie, co chce, tępić was nie myślę, od tego jest ropucha, ale kochania to już nie spodziewajcie się ode mnie.

---

*12-go lipca.*

Smutno na świecie. Deszcz pada od kilku dni, i nie mogę wyjść do ogródka. Niebo całe pokryte chmurami... Ale ja narzekać długo nie lubię, lepiej będzie popisać trochę.

Choć niepogoda na dworze, czy to ja nie mam roboty w domu? O jej, jeszcze ile!

Wczoraj, naprzykład, sporządziłam sobie przyrząd do zasuszania roślin. Wzięłam dwie deski drewniane wielkości mojego kajetu. Maciej porobił mi w nich dziury na wylot: przebił je gwoździem, mocno rozpalonym w ogniu. Później babcia dała mi dużo szarej bibuły. Pocięłam ją na kawałki wielkości deseczek



i włożyłam do środka. Miałam więc gotową prasę do roślin.

Ta robota zajęła mi dobrych parę godzin, do samego obiadu. Tymczasem deszcz na chwilę przestał padać. Myślę sobie: „wszystko dobrze się składa!“ Pobiełam do ogrodu, urwałam kilka kwiatków, trochę listków drobnych i zabrałam się do zasuszania.

Jedne kwiatki dały się zasuszyć bardzo łatwo: układałam je równo na bibule i przyciskałam drugim kawałkiem bibuły; a z niektórymi znów, na przykład z bratkami, wielki miałam kłopot: trzeba było pourywać płatki i każdy z osobna zasuszać. To nic nie szkodzi, że kwiatek jest rozdzielony; gdy wyschnie, gumą go zlepę. — Niezapominajki są bardzo delikatne i mogą utracić barwę po zasuszeniu; dlatego też włożyłam je najpierw między dwa cieniutkie płateczki waty i wtedy dopiero przyłożyłam papierem. Ale co począć z różą? Przecież spłaszczać jej nie można, bo będzie brzydko wyglądała.

Otóż pocziwy Maciej tak mi poradził.

Trzeba napełnić słoik do połowy drobnym, suchym piaskiem, potem włożyć różę, znowu

piaskiem przesytać całą i tak zostawić ją na jakie dwa, trzy tygodnie. Róża wyschnie, zeszywnieje, a płatki nie będą splaszczone.

Zrobiłam, jak mi radził Maciej, ale nie wiem, czy moja róża będzie ładna. Dopiero za dwa tygodnie przekonam się o tem.

Myśli może kto, że już koniec z zasuszaniem? Wcale nie. Trzeba papier z roślinami włożyć pomiędzy podziurawione deski i związać je mocno sznurem.

Związałam, jak należy, bo szpagat mam dobry (dobrze, że go schowała), no i siłę w rękach. Potem zawiesiłam ową prasę nad oknem. Przez dziurki przewiewa wiatr i prędko mi kwiaty wysuszy.

Ciekawa jestem, czy ładnie wyglądać będą?

Bardzo mi chodzi o to, bo niezadługo będą babci imieniny. Muszę tymi kwiatkami ozdobić laurkę. Umiem już suche kwiatki na papier naklejać, więc mogę ułożyć ładną girlandkę.

A jak babcia się ucieszy! Teraz nic jej nie powiem, bo chcę, żeby była niespodzianka. Jednemu tylko Maciejowi pod bardzo wielkim sekretem powiem do ucha, gdy będzie sam w ogrodzie.

---



*13-go lipca.*

Zła jestem na siebie!

Wczoraj mówił mi Maciej, że musi znowu kosić trawniki, bo trawa duża, a po deszczu kosić najlepiej.

— Jeżeli kosi się podczas suszy — powiada — to trawniki prędko żółkną.

— Dobrze, Macieju — mówię — z rana, skoro świt, stanę do pomocy.

A tu budzę się — ósma godzina! Biegnę do ogrodu — naturalnie, że Maciej kończył już robotę.

To też śmiał się ze mnie.

I miał słuszość, bo śpioch jestem!

---

*15-go lipca.*

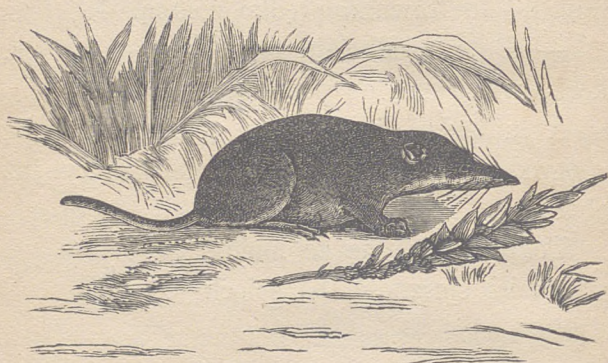
Z przyjemnością zasiadam do dzienniczka, żeby w nim zapisać ciekawą nowinę.

Jeszcze jednego znaleźliśmy przyjaciela, nazywa się kretomysz, i bardzo słuszenie, bo z wyglądu przypomina mysz, a ze zwyczajów — kreta.

Przyjacielem ogródka mogę go nazwać,

dlatego że tępi mnóstwo liszek, poczwarek, ślimaków i innych szkodników; za to ani korzeni, ani owoców nie jada wcale, choćby miał z głodu umrzeć — taki poczciwiec!

Mieszka on w ziemi, jak kret. Ryje sobie nory, które mają liczne ujścia. A jak mu się



Kretomysz.

poszczęści, zabiera chętnie norę kreta albo myszy.

Podobno jest bardzo tchórzliwy: dzień cały siedzi w kryjówce, a dopiero nad wieczorem z wielką ostrożnością wychodzi na żer. Bardzo dobrze robi, bo czemu się takie maleństwo przed nieprzyjacielem obroniło? Ma ono po-



dobno jakieś szczególne gruczoły, które wydają przykrą woń, ale i to nie wszystkich odstrasza. Naprzykład żmije i sowy nie zwracają na woń żadnej uwagi.

Maciej trzymał owo zwierzątko w pułapce na myszy; to też mogłam mu się lepiej przyrzyć, a to biedactwo tak się kręciło, tak między pręciki pyszczek wsuwało, jakby chciało uciec. To też Maciej, by go długo nie trzymać w niewoli, otworzył pułapkę, a kretomysz w gnieniu oka wyskoczył i skrył się w ziemi.

Ale... o moja głowo! zapomniałam spytać się ogrodnika, jakim sposobem złapał to zwierzątko w pułapkę. Jakiż ze mnie roztrzepaniec! Sadzę jednak, że złapać kretomysza bardzo trudno, ponieważ przebywa w ziemi i zręcznie się ukrywa.

---

*19-go lipca.*

Przez te trzy dni, siedząc w ogródku, wcale nie patrzyłam na rośliny i zwierzęta, byłam zajęta zupełnie czem innym.

Pracowałam nad upominkiem dla babci: robiłam z gliny koszyczek do kwiatów, i udał

mi się znakomicie. Teraz musi przez dni parę stać w słońcu, żeby wysechł. Był to pomysł Macieja.

Powiadam raz:

— Mój Macieju, wkrótce nadejdą imieniny babci, cobym jej ofiarować mogła? Poduszczkę do szpilek już dawniej wyszyłam, dywanik z papieru robiłam, zakładkę do książki też jej podarowałam, a teraz nie wiem zupełnie, co wymyśleć.

Na to Maciej, nic nie mówiąc, idzie do domu i przynosi prześliczny koszyczek.

— Ot — powiada — niech panienska taki sam zrobi dla babci...

— Co też Maciej mówi, czy ja potrafię coś podobnego zrobić? czy ja jestem rzeźbiarzem? — odpowiedziałem ze śmiechem.

— Tak się tylko paniencie zdaje, a jak jej pokażę, będzie się sama dziwiła, że w tem nie niema trudnego.

I rzeczywiście okazało się, że zrobić taki koszyczek nie tylko ja, ale każde małe dziecko potrafi.

W kącie podwórka leżało dosyć gliny. Maciej wziął kawałek, ugniótł dobrze w rękę



i mnie go podał. Utoczyłam najpierw kulę, spłaszczyłam trochę z boków, żeby do jajka była podobna i wtedy w środku zaczęłam robić wgłębienie — to rzecz bardzo łatwa. Następnie z innego kawałka gliny utoczyłam walek, przylepiłam do koszyczka, i zrobił się pałaczek.

A żeby koszyczek ozdobić, wzięłam znowu kawałek gliny; rozpłaszczyłam go i odcisnęłam na nim liść bzu. Wycięłam liść dokoła szpilką podwójną i miałam taki sam liść z gliny, nawet żyłki odcisnęły się znakomicie. Takie dwa liście przylepiłam po obu stronach koszyczka.

Ale to jeszcze nie koniec. — Koszyczek, wprawdzie już skończony, lecz nie dość ładny. Posmarowałam go więc gumą, a potem obsypałam grubym piaskiem żwirowym.

Teraz koszyczek schnie, i zdaje mi się, że będzie ładny, bo niektóre ziarenka piasku z daleka błyszczą w słońcu, jak szkło. To się babcia zdziwi! Żeby już prędzej te imienniny nadeszły. Ale jaki kłopot miałam, żeby ukryć się z tą robotą. Bo przecież w domu babcia zarazby się dowiedziała; musiałam więc wszystko robić

w ogrodzie. Ale i tam mogła babcia nadejść. Otóż poczciwy ogrodnik wynalazł kącik ukryty w ogrodzie, a nawet urządził mi pracownię. Stara paka drewniana służyła mi za stół, a mały pień drzewa za krzesło.

Umówiliśmy się Maciejem, że, jeżeli babcia się zbliży, on głośno chrząknie, a ja prędko robotę do paki schowam.

Ale trzeba nieszczęścia, że dziadzio siedział na balkonie, i, jak zwykle, często kaszłał; mnie zaś zdawało się ciągle, że to Maciej umówiony sygnał daje i prędko robotę sprzątałam...

W tym pośpiechu parę razy okropnie zepsułam koszyk i dlatego dużo czasu zmarnowałam na poprawki. Ale to nic, taka przyjemna robota! Babcia nie domyśla się niczego; a że Maciej nie powie, tego jestem pewna.

---

*26-go lipca.*

Nie przypominam sobie, czy miałam kiedykolwiek taki przyjemny dzień, jak dzisiaj. Żeby się jeszcze kiedy powtórzył!

Dawniej sądziłam, że największą radość



mamy wtedy, gdy nam kto coś podaruje, a dziś przekonałam się, że jest jeszcze przyjemniej samemu kogoś obdarzyć. Tak, naprawdę, wcale nie udaję, dziś o tem się przekonałam.

Ale muszę dobrze, w porządku opisać, jak było.

Wczoraj wieczorem Maciej powiada do mnie:

— Moja panienko, musimy jutro wcześniej wstać i ułożyć wiązanek dla babci, bo to przecież jutro Świętej Anny.

— Dobrze, Macieju, wstanę o szóstej i przybiegnę do ogrodu.

Umyślnie wcześniej spać poszłam. Nie wiem, jak długo spałam, ale obudziłam się zupełnie rzeźka. Przecieram oczy — dzień jakiś pochmurny; podbiegłam do dużego zegara, patrzę: trzecia godzina! A ja mam być dopiero o szóstej w ogrodzie. Jeszcze całe trzy godziny czekania. Możeby wstać i ubrać się? Ale całe trzy godziny to zadługo. Zaczekam do piątej. Owinęłam się kołdrą i leżę. Wkrótce wpół do czwartej wybiło; czwarta będzie niezadługo. Wtem, nie wiem zupełnie kiedy za-

snęłam... i to tak mocno, że nie mogłam zrozumieć, po co służąca Małgorzata przyszła mnie obudzić. Dopiero, gdy mi powiedziała: „Maciej po panienkę przyszedł“, zrozumiałam, o co chodzi. Zerwałam się na równe nogi, ubrałam się prędko i cichuteńko wyszłam z pokoju. Dziadkowie jeszcze spali.

Maciej już był przy grządkach. Natychmiast i ja zabrałam się do przygotowania niespodzianki.

Nazrywałam najpiękniejszych pachnących kwiatków, wzięłam mój wazonik z gliny, już zupełnie suchy. Nasypałam weń mokrego piasku i powsuwałam kwiatki. Maciej dopomógł mi w ułożeniu i dobraniu kwiatów, i mój bukiet prześlicznie wyglądał!

Trzeba to sobie zapamiętać, że w mokrym piasku kwiaty trzymają się daleko dłużej, niż w wodzie. Tak Maciej powiedział, a on dobrze wie, co mówi.

Kiedy już wszystko było skończone, zniosłam kwiaty do sali jadalnej, postawiłam na stole. Sama ubrałam się w jasną perkalikową sukienkę, w biały fartuszek i czekam na babcię. A serce mi tak puka, puka, jakbym się czego bała.



Nareszcie weszła babcia, taka ładna, w białym wyrurkowanym czepeczku, w nowej sukni. Mnie jakby co w gardle dławiło. Powinszowałam babci, ale tak niewyraźnie i cicho, że aż zła byłam na siebie.

— A to ode mnie prezent dla babci — szepnęłam i podałam babci wazonik z kwiatami.

— Dziękuję ci, dziecino droga, to twoje własne kwiatki; widzę, jak je pielęgnujesz. Pamiętam, jak na twoje imieniny podarowaliśmy ci ten ogródek, a dziś ty z niego plony mi oddajesz. Dziękuję ci, kochanie moje!

Tak mówiła babcia, przyglądając się kwiatkom.

— A skądżeś ty taki wazonik wzięła? Bardzo ładny, zupełnie do koszyczka podobny. Czy może także gdzie wyrósł razem z kwiatkami? — spytała babcia z uśmiechem.

— Nie, babciu — rzekłam i opowiedziałam, jak koszyczek ten zrobiłam, jak się kryłam przed babcią, jak go chowałam.

Nagle patrzą, a moja babunia ma oczy też pełne. Posadziła mnie u siebie na kolana, zaczęła ścisnąć, całować.

— Moja ty pieścotko, mój skarbie, toś

ty o babci swojej tak myślała, to ty ją tak kochasz!...

I wciąż mnie pieściła.

Nie wiem, co mi się zrobiło, bo nie mnie przecież nie zabolęło, żadnego nie miałam zmartwienia, a jednak tak mi się dziwnie w oczach zaćmiło. Całowałam babcię, a łzy mi, jak groch, po twarzy spływały.

I było mi tak przyjemnie, tak dobrze, tak wesoło... Nie umiem tego opisać, może, gdy będę starsza, potrafię lepiej.

Babcia wiedziała, że Maciej dopomagał mi we wszystkim, zaprosiła go też do stołowego pokoju, dziękowała mu, a tymczasem i dziadus nadszedł, i wszyscyśmy razem zasiedli do śniadania.

Gdyby to więcej takich dni było!

---

*4-go sierpnia.*

Nie możemy teraz wieczorem zostawiać otwartych okien; krąży takie mnóstwo motyli nocnych, że niepodobna się im opędzić. A jakie one brzydkie! Ciało grube, skrzydła małe, głowa duża z różkami długimi... Wpadają do



pokoju niewiadomo po co; kręcą się dokoła lampy, jakby im chodziło o to, żeby się spalić; to też kilka nieżywych leży już pod lampą. Ale to wcale nie przestrasza innych.

Babci żal ich było, więc zamknęła okno.



Miernica.

I cóż stąd? Biją o szybę, hałasują, do światła im pilno.

Nie wiedziałam sama, czy mam je szanować, czy tępić, ale ktoś mi o tem powie, jeżeli nie Maciej. Złapałam jedno takie straszydło i zaniósłam je ogrodnikowi. Przeczynałam, że nic dobrego o nich nie usłyszę.

Maciej powiada, że wszystkie motyle nocne, które do nas wieczorami wpadają, są szkodliwe, bo składają mnóstwo jaj na drzewach; że z tych jaj wylęga się taka sama ilość gąsienic, które także wiele liści objadają. Mówił i o motyłu, który należy do rodziny Miernic, a to dlatego, że ich gąsienice tak chodzą, jakby mierzyły ziemię. Mają na przodzie i z tyłu po kilka par nóżek. Najpierw czołgają się przednimi nóżkami i zatrzymują, a wtedy kurczą ciało, przysuwając tylne nóżki. To dobrze, ale co dalej mówił Maciej?... Liszki siedzą na drzewach owocowych i objadają Nielitościwie liście... Jeszcze coś mówił... nie pamiętam. Może spytać drugi raz?... Wstydzę się... Wiem, wiem, liszki w końcu wysnuwają z siebie nitkę i spuszcza ją na ziemię. W ziemi zagrzebują się i zamieniają w poczwarkę, z której na rok następny wylęga się taka sama szkodnica, jak wszystkie Mierniki, ani trochę nie lepsze. Ale co jeszcze mówił, tego sobie nie przypomnę... Ha, trudno, muszę na tem skończyć. Przynajmniej wiem, że jest szkodnikiem dla naszego ogródka, i dlatego na zawsze zostanie moim nieprzyjacielem.

---



*6-go sierpnia.*

O, sierpień też ma swoje kwiaty:  
Co prawda, dużo z nich już przekwitło:  
róż mamy mniej daleko, ale w zamian poka-  
zują się astry.



Astry.

To ładny kwiat, lecz wybredny.  
Maciej powiada, że astry rosną tylko  
w ziemi pulchnej, na słońcu, nie lubią wiatru  
i wilgoci.

Deszcz także do smaku im nie przypada, bo zalewa ich rureczki kwiatowe i powoduje gnicie.

Ale jeszcze dziwniejszy jest inny kwiat, o którym myślałam, że ma tylko liście, tym-



Aster.

czasem niedawno wypuścił długą kité czerwoną, złożoną z drobnych kwiatków.

Maciej nazwał kwiat „lisim ogonem“.

Jabym też inaczej go nie nazwała — taki dziwny!



*10-go sierpnia.*

Dziś powinienam w dzienniku swoim napisać tytuł „Historya Macieja“. Ale jak to trudno było od niego cośkolwiek się dowiedzieć... Długo musiałam go prosić. Nie chciał i nie chciał, wymawiając się bądź brakiem czasu, bądź, że już nic nie pamięta, lub że innym razem opowie... Ale ja dopóty go nudziłam, aż nareszcie zgodził się.

— Czy Maciej ma gdzie krewnych? — pytam. — Czy ma ojca, matkę, ciotkę, braci? Dlaczego nigdy o nich nie wspomina?

— O, moja panienko, nie takim ja szczęśliwy, jak inni... Nie mam na całym świecie nikogo — sam jeden, jak palec zostałem...

— To Maciejowi bardzo smutno, prawda, tak żyć samotnie? Ja też jestem sierotą, ale za to mam babcię i dziadka. O, gdyby ich zabrakło, to dzień i noc płakałabym ze zmartwienia... Zateśniłabym się na śmierć.

— Dużo przeniesć może ten, kto musi — mówi Maciej i westchnął głęboko.

— Biedny on naprawdę!... — pomyślałam

sobie. Żeby choć babcię miał, a tak, to zupełnie sam jeden na świecie...

— Z blizkich pamiętam tylko ojca — zaczął Maciej po namyśle. Mieszkaliśmy o kilkanaście mil stąd. Ojciec mój był także ogrodnikiem i zarządzał dużym ogrodem. Miałem wtedy lat dwanaście i pomagałem mu przy robocie. Matka odumarła mnie wcześniej, ale za to ojciec zastępował mi ją, o ile mógł. Wychował mnie, czytać i pisać nauczył, opowiadał mi o różnych świętych, o cudach Chrystusa Pana i o innych rzeczach... Pamiętam, często przy pracy spływały mu krople potu, ale nie zważał na to i wciąż pracował i opowiadał mi...

— Tatusiu — pytam raz — skąd to wy tyle bajek umiecie?

— Nie bajki to, synku — powiada — tylko czysta prawda: w książkach o tem napisano. Czekaj, synku, może się trochę dorobię, to na jesieni do szkoły pójdziesz, sam się czytać nauczysz; kupię przyodziewek, książkę. Ciekawsze rzeczy tam posłyszysz.

— Tatulu — pytam — a jak szkołę skończę, to już będę wszystko wiedział, co wy?



— E, kochanie, nie bardzobyś jeszcze był mądry, gdybyś na tem poprzestał; jabym tam więcej dla ciebie pragnął. Chciałbym, żebyś poszedł do szkoły ogrodniczej w Warszawie. Każdy, kto chce być dobrym ogrodnikiem, tam idzie. Do zakładu tego przychodzą mądrzy ludzie i opowiadają przyszłym ogrodnikom mnóstwo pożytecznych rzeczy. Uczą, jak mają rośliny pielęgnować, a o każdej co innego można usłyszeć; uczą, jak ziemię pod rośliny uprawiać, jak trawniki urządzać; zapoznają ze szkodliwymi i pożytecznymi stworzeniami w ogrodzie — słowem, tyle się człowiek tam nasłucha, że potem z każdym ogrodem może sobie dać radę. Nie dość na tem, ci mądrzy ludzie, profesorami zwani, dają mnóstwo wskazówek i rad. Powiadają naprzykład: jeżeli chcecie dowiedzieć się czegoś więcej o uprawie ogrodu, przeczytajcie taką a taką książkę. I zaraz mówią, jak się książka nazywa.

— Tatku, to ja będę takim ogrodnikiem — powiadam — będę tych profesorów słuchał, oj, będę, słówka jednego nie opuszczę... Byleby prędzej to nastąpiło.

Pamiętam, zrobiło mi się na duszy tak lekko, tak przyjemnie, że nie mógł na miejscu usiedzieć. A gdy spać szedł tego dnia, wpadłem przedtem do ojca, uściśnąłem za szyję, wycalowałem...

— Tatusiu drogi — mówię — czy to aby kiedy nastąpi?

— Da Bóg, doczekamy, synku — odpowiada.

I długo tej nocy spać nie mogłem. Wciąż mi się majaczyli profesorowie, towarzysze moi, książki... Poźniej zdawało mi się, że jestem ogrodnikiem, że przesłiczne klomby zasadzam, drzewka podcinam, a ojciec staruszek wypooczywa na ławce przy domu, patrzy i cieszy się, że ma z syna prawdziwą wyrękę i pociechę.

I czekałem tej jesieni, jak jasnego dnia, w którym ojciec zaprowadzi mię do szkoły.

Nie dla mnie jednak było szczęście...

Jesień nadeszła a z nią razem przyszła moja niedola: ojciec umarł.

Pamiętam, jakby dziś było: leżał na szerokiej ławie w swoim ubraniu świątecznym, taki spokojny, taki uśmiechnięty... tylko już nie do mnie nie przemawiał.



Pobiegłem do ogrodu, narwałem kwiatów i traw, które tatuś tak pielegnował, uplotłem wianek i przyczepiłem do wieka trumny.

Na trzeci dzień zeszło się dużo ludzi do naszej chałupy, zapalili świece, śpiewali pobożne pieśni, później zabrali trumnę, postawili na wóz i powieźli na cmentarz.

Od tego czasu cmentarz był dla mnie najprzyjemniejszym schronieniem.

Na grobie ojca posadziłem ulubione jego kwiaty, które co niedziela biegłem oglądać.

Dawno to już było, panienko droga, bardzo dawno, zestarzałem się sam, a jednak dziś jeszcze bez łez mówić o tem nie mogę.

Spojrzałam na Macieja: miał łzy w oczach.

— Razem z ojcem poszły w grób wszystkie nadzieje moje: szkoła, kursa ogrodnicze. Zostało mi tylko dwoje rąk do pracy.

Rzuciłem się skwapliwie do roboty w ogrodzie i pokochałem to zajęcie; każdy kwiatek, każdy listek wydawał mi się bratem moim, bo ojciec te rośliny sadił i pielegnował. Zdawało mi się doprawdy, że, siedząc w ogrodzie, nie jestem samotny.

Co prawda, nie mogę i na ludzi narzekać.

Dziedziczka natychmiast przyjęła innego ogrodnika, a ja zostałem jego pomocnikiem.

Marzyłem czasem, że może za lat kilka uzbieram sobie tyle pieniędzy, iż mi wystarczy na wpis do szkoły ogrodniczej, ale pensya była tak mała, że zaledwie na ubranie starczyła.

— A jakim sposobem do nas się Maciej dostał? — pytam.

— Tutaj jak się dostałem? A oto tak było. Babcia panienki słyneła w okolicy, jako bardzo dobra i litościwa pani. Właśnie kiedy wyuczyłem się niejednej rzeczy w ogrodzie, gdzie mnie ojciec umieścił, i mogłem już pracować na własną rękę, babcia panienki potrzebowała ogrodnika, więc zgłosiłem się i zostałem przyjęty. Od tego czasu jestem tu, jak u siebie, i chyba nigdzie mi lepiej być nie może.

Maciej skończył swoje opowiadanie, a ja nie mogłam odejść od niego, tak mi go żał było. Chciałam mu coś powiedzieć na pociechę, ale nie mi na myśl nie przyszło, więc podskoczyłam i w rękę go pocałowałam... No, i cóż w tem złego?



Lecz prędko uciekłam i nie wiem, może się rozgniewał...

---

*15-go sierpnia.*

A tom się dziś spłakała! Alboż to nie zmartwienie? Przychodzi babcia do sypialnego pokoju i mówi mi zupełnie poważnie:

— Niedługo już, moje dziecko drogie, potrwa zabawa twoja. Za tydzień trzeba będzie do Warszawy jechać.

— Po co, babciu? — pytam przerażona, bo już przeczuwałam coś niedobrego.

— Na pensję, moje dziecko... Jesteś już dużą dziewczynką, nauka z nami nie wystarcza ci, trzeba zabrać się szczerze do pracy. Ale nie martw się, przecież to nie na zawsze; na wakacyle wrócisz znowu.

Już nie wiem, czy tam babcia co jeszcze mówiła, bo ja zaraz w płacz...

— Co? — pomyślałam, żyć z obcymi, bez dziadków? bez Macieja? bez mego domku i ogródka?! Boże, mój Boże! A toż to ja tam będę sama, jak sierota, zupełnie, jak sierota. Po co ta Warszawa jest na świecie! Po co te

pensye? Babcia i dziadus mają dosyć rozumu, to mię nauczą wszystkiego...

Babcia tuliła mię do siebie, pocieszała, ale ja nie, tylko wciąż płakałam, aż mi łez zabrakło. Wtedy pomyślałam sobie, że jeszcze Maciej nie wie o mojem nieszczęściu i pobiegłam do niego. Opowiedziałam mu wszystko, co babcia mówiła, jakie to straszne rzeczy dzieć się mają. A on na to:

— Chwała Bogu! Cieszę się, bardzo się cieszę...

— Ale ja się wcale nie cieszę, ja jestem bardzo, o, bardzo zmartwiona, wcale jechać nie chcę...

A on mi na to:

— Dziwię się, bardzo się dziwię. Panienska tak uważnie słuchała moich opowiadań, tak się dopytywała o wszystko, a na pensyi przecie daleko ciekawsze rzeczy usłyszeć może. Cóż ja? Jestem sobie samouk — powiada — niewiele wiem (ale to nieprawda, bo Maciej jest bardzo mądry), mogę zalewie opowiedzieć panience, ot, o paru stworzeniach, paru roślinkach, które znam, i wszystko... A na pensyi Naci powiedzą o wszystkich roślinach, jakie



mamy, i o zwierzątkach, i o ziemi, i o kamieniach... A czy to i o ludziach niema rzeczy ciekawych? Ajej! Chciałbym ja być na miejscu panienki i słuchać o tem wszystkiem.

Tyle mi staruszek nagadał, tak mnie namawiał, że w końcu sama nabrałam chęci do wyjazdu.

— Macieju — powiadam — ja Maciejowi wszystko opowiem, co usłyszę od nauczycieli, będę ich uważnie słuchała, a jak trafi się co trudnego, w dzienniczku sobie zapiszę.

Zdaje mi się, że moje słowa bardzo ucieszyły ogrodnika. Długo jeszcze dnia tego rozmawialiśmy z Maciejem.

---

*20-go sierpnia.*

Dziś ostatni raz siadam do mego dzienniczka, bo jutro rano wyjeżdżamy. Ach, jak to przykro porzucić wszystko!

Z rana co chwila wpadałam do ogródka, żegnałam każdy kwiatek, każde drzewko. Jabyłam wszystkie listki wycalowała, ale jest ich za dużo. Maciej powiada, że po moim wy-

jeździe nastąpi jesień, wtedy kwiatki prawie wszystkie przekwitną, a on zacznie zbierać z nich nasiona; będzie drzewa słomą obwijał i sprzątnie wszystko z ogródka.

— Ale za to na przyjazd panienki — powiada mi — na wiosnę, urządzę ogródek, jak cacko!... Będziemy znowu w nim pracowali.

Tak mnie pocziwy staruszek pocieszał. Przykro mi. Ha! cóż robić...

Żegnajcie, lube roślinki, żegnajcie moi przyjaciele! Do lata, do lata!

Z Maciejem pożegnam się jeszcze jutro. Lecz jestem pewna, że się rozplacę. On znacznie mię wstydzić... wiem o tem, ale nie wytrzymam.

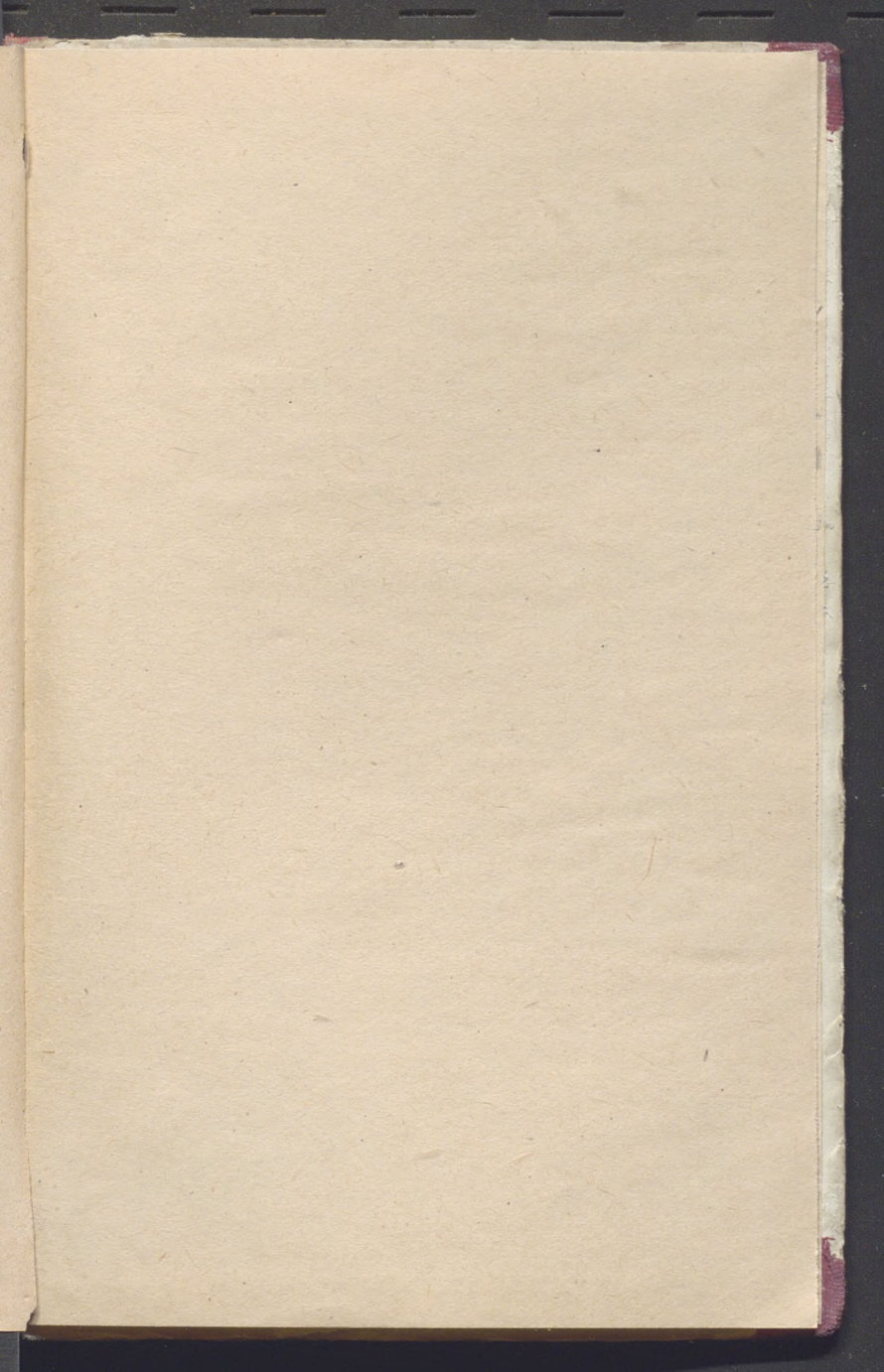
I z tobą, mój dzienniczku kochany, pożegnać się muszę, zawiążę cię wstążeczką i schowam do szufladki.

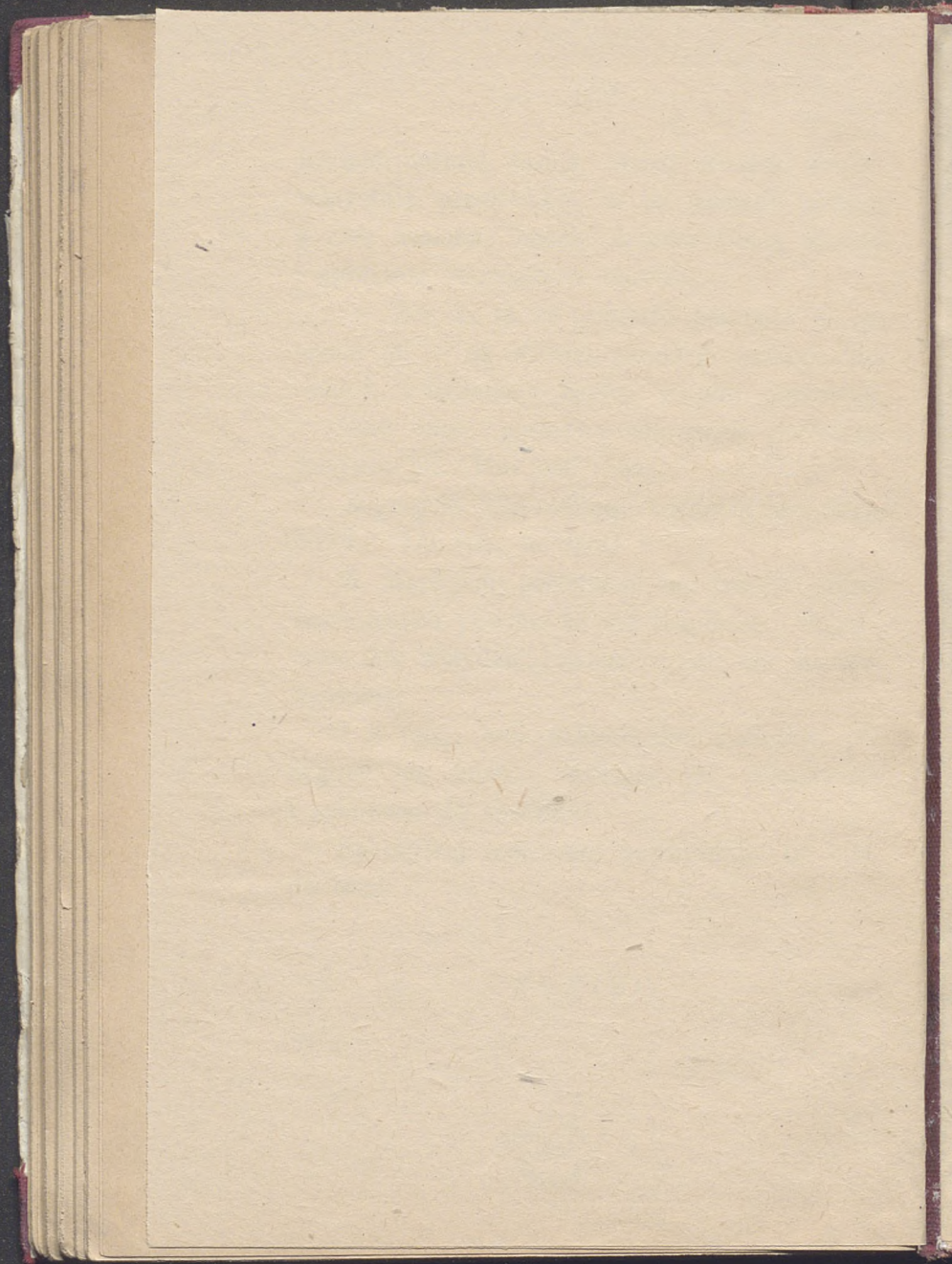
Spoczywaj tam, mój powierniku, do lata, do lata!

K O N I E C.











A-39-

90

D-77/

56

946

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001020751331

Ant. Lomus

Ww

03.12.2012v.

214m1-

b 34458669

I 2.831.259

